Nr. 4. W Tarnowie, 20 go lutego 1908. **R. XII.**

DWUTYGODNIK
katechetyczny i duszpasterski

wychodzi 5-go i 20-go każdego miesiąca, wyjąwszy wakacyj.

Prenumerata wynosi:
Do 30-go czerwca . . . . 6 K
Za granicą . . . . 7 „
Numer jeden 70 h.

Inseraty, odpowiadające treści pisma, płatne z góry, po 20 hal. od wiersza petit.

Reklamacye wolne są od opłaty pocztowej. Uwzględnione być jednak mogą tylko do dni 14 po wyjściu numeru.

W Kongresówce i na Litwie do 30-go czerwca 4 R.

Adres Redakcyi i Administracyi: Tarnów, ul. Przecznica Różana l. 3.

„In necessariis unitas, in dubiis libertas, in omnibus charitas".

Walka o dusze.

„Da mihi animas, cetera tolle" modlił się znany mąż święty, wnikając w tajniki Serca Bożego, które dla zbawienia dusz nie żałowało wysączyć ostatniej krwi kropelki. *Odtąd ludzi łowić będziesz*, rzekł Chrystus Pan do św. Piotra, a przezeń do Kościoła nauczającego — i w istocie dziewietnastowiekowe prace Kościoła nie są czem innem, jak walką o dusze, są łowieniem dusz dla Chrystusa Pana. W łowieniu tem niema ani cienia samolubstwa, niema żądzy panowania, której ludzie światowi (sądząc według siebie) radziby się dopatrzeć; jest zaś duch Chrystusa P., jest miłość bezgraniczna, pragnąca podźwignąć dusze, oczyścić je z pyłu namiętności ziemskich, wznieść ku Bogu i uszczęśliwić na wieki. Dla takiego uszczęśliwienia dusz dał się Zbawiciel nasz ukrzyżować, dla tego samego celu pozwala się On krzyżować podziśdzień w mistycznem ciele Swojem, w Kościele katolickim. Wprawdzie Kościół składa się z ludzi ułomnych, więc chwilowo może gdzieś zapomnieć o swojem głównem zadaniu i marzyć o majątkach, o wpływie na rządy i o t p. korzyściach ziemskich; zdarzało się to wówczas, gdy Pasterze Kościoła (biskupi lub nawet Papież) nie byli ustanawiani według woli Chrystusa Pana, lecz narzucani przez rządy—wnet atoli Boski Oblu-

bieniec sprawia, że Oblubienica Jego odrzuca pstrokate stroje i świecidełka a chwyta za krzyż, by nim zbawiać ludzi.

Znane te prawdy warto sobie przypomnieć, jeźli chcemy osądzić zdrowo położenie Kościoła i najbliższe zadania, jakie nas kapłanów czekają. Walka z Kościołem rozgrywa się na pozór na tle politycznem i ekonomicznem. Dyplomacya wyemancypowała się zupełnie z więzów chrystyanizmu, polityka wewnętrzna usiłuje odtrącić kapłana od urny wyborczej, pominąć go zupełnie w ankietach wychowawczych, estetycznych, charytatywnych itp. Rządy niektóre (świeżo francuski i włoski) grabią majątki i budynki kościelne, nawet kościołów nie oszczędzają, katolickie instytucye dobroczynne zamieniają samowolnie na międzywyznaniowe i t. p. Wolnomularze i socyaliści nie tają się z tem, że kampanię tę przeprowadzić muszą z czasem w każdem państwie — jakoż od czasu do czasu i w Austryi zrywają się do niej. Są to proste gwałty, które szkodzą wprawdzie Kościołowi, ale więcej szkodzą duszom w ogóle, bo je znieprawiają poczuciem krzywdy wyrządzonej, pobudzają do wymyślania kruczków, mających uzasadnić bezprawia i w ten sposób zatruwają ducha społeczeństwa. Kościół ostatecznie spełni swą missyę i bez majątków; jeźli je posiadł, to jedynie drogą darowizn i zapisów, pochodzących od ludzi, którzy przez Kościół pragną i po śmierci swojej majątek przeznaczyć na cele szlachetne. Nieraz już chciwość lub złość ludzka pozbawiała Kościół takich darowizn, ale niebawem Kościół zyskiwał je na nowo i zyska w przyszłości, dopóki będą chrześcijanie wierzący słowom Zbawcy: „*Coście uczynili jednemu z tych najmniejszych, Mnieście uczynili*". Ciekawem a nietrudnem byłoby zestawienie statystyczne, jak wskutek takich grabieży obławiają się z reguły tylko macherzy prywatni, a ogół ludności ubożeje i płacić musi znacznie wyższe podatki (zobacz Francyę!) — ale nie o tem chcemy pisać; stwierdzamy, że Kościół, protestując wprawdzie przeciw gwałtom i bolejąc nad znieprawianiem dusz, widzi w tem jedynie utrudnienie swej pracy, ale nie widzi niebezpieczeństwa dla swego istnienia.

Ważniejszą nierównie jest walka o dusze. Kościół prowadzi dusze do zbawienia według woli Chrystusa Pana władzą nauczycielską, kapłańską i pasterską, tj. nauczaniem słowa Bożego, udzielaniem Sakramentów św., Mszą św. i innymi środkami łaski Bożej, wreszcie zaprawianiem ludzi do życia cnotliwego, do sumiennego spełniania obowiązków stanu dla miłości Boga. Pomaga wielce do tego ścisła organizacya, jaką Chrystus Pan dał

Kościołowi i zaufanie wiernych do swych ojców duchownych, a zwłaszcza do Papieża. Każdy z tych środków stał się obecnie przedmiotem walki. Nauce słowa Bożego przeciwstawia się nie umiejętność prawdziwą, lecz pod jej imieniem błędne hypotezy naukowe, wskutek czego każdy, kto chce uchodzić za intelligentnego, stroni od kazań i lektury religijnej, a z szyderstwem lub z politowaniem spogląda na prostaczków. O bo niedowiarkowie mówią wprawdzie wiele o tolerancyi i brak tolerancyi zarzucają Kościołowi, ale w istocie dalecy są od chrześcijańskiej miłości bliźniego i wyrozumiałości, a sarkazmem, kpinami, nawet pozbawianiem zarobku nękają każdego, kto się odważy chodzić na kazania i żyć religijnie. Niejedna żona, niejeden uczeń w szkole, niejeden terminator lub robotnik fabryczny krwawemi łzami płaczą nieraz na „tolerancyę“ wolnomyślnych i niekiedy—łamią się pod jej ciosami, pomnażając szeregi sterroryzowanych „sympatyków postępowych“.

Agitacya owa dosięga także szkół i czytelni. Postarano się o to, by w myśl ustawy nauka wszystkich przedmiotów była niezawisłą od wyznania, ale widzą, że wielu nauczycieli, słysząc egzorty katechety i patrząc na jego uczciwą i zbożną działalność, wchodzą z nim dla dobra dziatwy w jakiś modus vivendi i wychowują — religijno-moralnie. Czyż można na to pozwolić? „Wyrzućmy ze szkoły religię, nabożeństwa i katechetów — wołają w Wiedniu Masaryk i Drtina — bo tylko zeświecczona szkoła będzie prawdziwie wolną, będzie swobodnem siedliskiem nauki. Religię zostawmy rodzinie i kościołowi“. Nie o *zeświecczenie* im chodzi, lecz o całkowite *odchrześcijanienie* młodzieży; używają jedynie wyrazu eufemistycznego (jak w swoim czasie „kulturkampf“), by nie obudzić z uśpienia sumienia katolików obojętnych i może z tego lub owego powodu księżom niechętnych, ale w gruncie rzeczy pragnących swe dzieci wychować w religii katolickiej. Co szkoła rozpocznie, ma dokonać czytelnia. Z gorączkową skwapliwością tłómaczy się na język polski Nietschego, Drapera, Spenzera, Renana i materyalistów wszelkiego rodzaju i zasypuje się księgarnie i czytelnie „postępowymi“ podręcznikami dla samouków, broszurami „Wolnej Myśli“ itp. „Postępowe“ odczyty mają dokonać reszty. Pisma illustrowane, które radykalizmem nie chcą zamknąć sobie wstępu do rodzin chrześcijańskich, przerabia się na tak zw. *Familienblatty*, które wprawdzie nie atakują religii, ale uczą całe życie prywatne i publiczne bez niej urządzać, a od czasu do czasu przypną łatkę złośliwie jakiemuś Świętemu itp. Weźmy teraz dom, w którym rodzice

nie chodzą do kościoła, nie modlą się w domu, czytają i dają dziecku do czytania pisma i broszury tego rodzaju i unoszą się nad niemi; z jakiem usposobieniem przyjdzie takie dziecko do szkoły? Gdyby i szkoła została odchrześcijanioną, gdyby w szkole zochydzono dziecku wszelką lekturę religijną a zapalono je tylko do „postępowej", gdyby uczeń, opuściwszy szkołę, z zapałem młodemu wiekowi właściwym chłonął w siebie niemojowszczyznę a piorunował na kazania i nabożeństwa — czyż można bez cudu łaski Bożej obiecywać sobie, że z młodzieńca takiego wyrośnie chrześcijanin wierzący i praktykujący? Tego właśnie pragną nieprzyjaciele wiary chrześcijańskiej; osięgli to już do pewnego stopnia w miasteczkach i wioskach francuskich i nie żałują zachodów, by przeprowadzić tosamo w całej Europie. Usiłowali nawet zapomocą tak zw. modernizmu wprowadzić rozkład w sam rdzeń nauki Chrystusowej, ale Pius X Swą encykliką *Pascendi dominici gregis* pokrzyżował w tym względzie ich szyki.

Cóż na to powiemy, my kapłani? Czyż każdy z nas zamknie się w ciasnem kółku swych najbliższych obowiązków, przestanie czytać sprawozdania z ruchu umysłowego w świecie, by sobie „nie psuć krwi" i sądzić będzie, że wszystko pozostanie po dawnemu? Nie byłaby to *prudentia pastoralis*, byłaby to znana polityka strusia, byłoby to (mówiąc po prostu) wygodnisiostwem jeźli nie tchórzostwem, niegodnem *ministros Christi et milites ejus*. Któż będzie bronił dzieła Chrystusowego, jeźli my nawet zaśpimy sprawę? *Gdy słudzy spali, nieprzyjaciel nasiał kąkolu*, opowiada P. Jezus; bądźmyż pewni, że i do naszych parafij, zakładów, szkół, nasieją nieprzyjaciele Chrystusa mnóstwo kąkolu i że kąkol ów dopiero wtenczas spostrzeżemy, gdy wyrywać będzie zapóźno — jeżli wcześnie i systematycznie nie uzupełnimy naszej pracy duszpasterskiej w kierunku obrony.

Jak się bronić? Oto przygotowujmy się do *kazań* jak najstaranniej i nietylko prawdy Boże wyjaśniajmy, ale także bieżące prądy społeczne ich promieniami oświetlajmy — *cum omni patientia et doctrina*. Zwróćmy też pilniejszą uwagę na *katechezy w szkole i w kościele*, nie opuśćmy żadnej lekcyi religii, a każdą lekcyę tak urozmaicajmy, tak ułatwiajmy pod względem metodycznym, tak skuteczną czyńmy pod względem wpływu na serce i wolę, by dziatwa lgnęła do nauki religii i umiała naprawdę żyć religijnie. Staranne przygotowanie do korzystania ze Mszy św., ze Sakramentów św., z modlitw, bractw i nabożeństw kościelnych, jest oczywiście niezbędnie potrzebnem. Na-

uczycieli, którzy nie gorszą młodzieży, uważajmy za swych nieocenionych współpracowników i tak w stosunkach towarzyskich jak wobec rodziców podnośmy ich powagę. Starajmy się również obudzić w rodzicach na seryo przeświadczenie o ważności dobrego wychowania, nauczmy sposobu wychowania — ale o tem pomówimy osobno. Wszystko to jest w naszej mocy, wymaga tylko natężonej pracy, nauki i roztropności — a przy łasce Bożej wiele dusz uratujemy!

Nie dosyć na tem. Osobliwszą uwagę zwrócić należy na czytelnie. W każdej parafii przynajmniej jedna większa czytelnia obok kościoła istnieć powinna, a co niedzielę i święto po nieszporach proboszcz powinien iść do niej i na dobrze obmyślany temat z socyologii lub z historyi polskiej czy kościelnej i t. p. przemówić słów kilka i wywołać pogadankę. Prawda, że to ofiara ciężka, bo w niedzielę ksiądz najwięcej jest zmęczony, ale „*salus animarum suprema lex esto!*“ W inny dzień parafianie do czytelni nie przyjdą, lub przyjdą w małej tylko ilości, więc nie oszczędzajmy się w niedzielę, abyśmy się okazali sługami Tego, który mógł o sobie powiedzieć: „*Zelus domus Tuae comedit me*“. Gdzie jest wikaryusz, niech jedzie na katechizacyę parafialną w niedzielę do wioski odległej i tam po katechizacyi urządzi w czytelni pogadankę podobną. Wybór książek dla ludu ułatwia nam krakowskie Tow. Oświaty ludowej (Stowarzyszeniu Szkoły Lud. nie można niestety całkiem zaufać), a „*Gazeta niedzielna*“, *Prawda*, *Postęp*, *Nowy dzwonek*, *Gwiazdka Cieszyńska* i *Przewodnik* (poznański) dokażą reszty. Oczywiście grosza na to skąpić nie można.

W miastach większych, gdzie są zazwyczaj szkoły średnie, zakładajmy biblioteki chrześcijańskie, w guście n. p. tej, która świeżo powstała w Tarnowie. Liczy ona obecnie 5900 tomów, a jest zamiar, by w miarę napływania ofiar, powiększyć ją do 20.000 tomów. Obejmuje ona trzy działy: a) dla dorosłych nieliczny, b) dla ogółu, c) dla ludu i dla dzieci. Nikomu nie pożycza się bezpłatnie i z reguły żąda się kaucyi, ale opłata jest bardzo mała (2 hal. od tomu za pierwszy tydzień), a zamiast kaucyi przyjmuje się od uczniów poręczenie katechety. Ruch w bibliotece jest też bardzo ożywiony. Dobiera się nietylko powieści, ale i dzieła naukowe ze wszech dziedzin, bądź katolickie, bądź ściśle fachowe, nie zaczepiające religii. Korzyści duchowe są znaczne: niejeden uczeń zdolniejszy może tu dojść do wyższego wykształcenia bez zachwiania wiary, a wszyscy widzą dowód oczywisty, że można w każdym fachu być wykształconym,

a przytem wierzącym. Katalog ogólny jest do nabycia po 80 h., katalog dla ludu i dzieci po 20 hal. Za ewentualne wskazówki, które dzieła należałoby jeszcze zakupić, a jeszcze bardziej za ofiary pieniężne na ten cel, Zarząd biblioteki będzie bardzo wdzięczny. *Stowarzyszenie Bibliotek chrześć.*, które ową bibliotekę prowadzi, może także tworzyć filie w całej Galicyi i w W. Ks. Krakowskiem, więc ofiary na rzecz Stowarzyszenia wyjdą na pożytek nie samej tylko młodzieży tarnowskiej. Młodzież szkół średnich zajmie po kilku latach wybitne stanowiska w różnych powiatach w całej Galicyi i może działalność oświatową duchowieństwa znacznie poprzeć, zamiast jej (jak to bywa obecnie) przeszkadzać. Czyż nie poprzemy takiego dzieła? [1]) — Co jednak uczyniliśmy w omówionej już sprawie kolportaży książek religijnych?

O sposobach prowadzenia walki o dusze w zakresie władzy kapłańskiej i pasterskiej, pisze stale w *Dwutyg Kat.* Ks. A. Albin; uzupełnienie tych prac podamy później. Na razie zaznaczamy, że budowanie żywego Kościoła Chrystusowego w duszach ludzkich uważamy za rzecz nierównie ważniejszą, niż wznoszenie nowych świątyń; świątynie ludu nie zbawią, jeźli lud do nich chodzić nie będzie. Obszerna świątynia ułatwia wprawdzie duszpasterzowi gromadzenie ludu na kazania i nabożeństwa, więc warta nakładu, ale niemniej, owszem we wyższym stopniu, wartają nakładu pracy i grosza środki walki o dusze, a więc i sami nie żałujmy na to ofiar i dobroczynne osoby świeckie do ofiar takich zachęcajmy. *Da mihi animas, cetera tolle!*

---

[1]) Biblioteka zawiera także dzieła teologiczne. Niejeden z P. T. Współbraci posiada sporo dzieł cennych, które po jego śmierci rozlecą się bez pożytku na cztery wiatry. Zapisywanie ich komuś w testamencie nie jest rzeczą praktyczną, bo naraża obdarzonego na koszta oszacowania i na zapłacenie 10% sumy szacunkowej, jako taksy od darowizny. Wiadomo przytem, że przed oszacowaniem wiele dzieł cennych ginie gdzieś w rękach prywatnych, bo rzadko znajdzie się katalog dokładny; reszta nie warta nieraz kosztów opłat. Nierównie praktyczniej postąpi, kto przy dobrem zdrowiu bez zwłoki podaruje swą bibliotekę Stowarzyszeniu Bibliotek chrześć, które postara się o to, by książki owe skatalogować i pieczęcią Stow. zaopatrzyć. Na życzenie ofiarodawcy mogą te książki pozostać w jego domu aż do śmierci, jako wypożyczone ze Stowarzyszenia bez opłaty. Oczywiście w razie cięższej choroby raczy taki dobroczyńca zawiadomić zaraz Stowarzyszenie, by książki zabrało; w razie nieprzewidzianej śmierci, raczy to uczynić ktokolwiek z sąsiadów-Współbraci.

E. Wasmann o ewolucyonizmie.

(Dok). W drugim odczycie omawia Wasmann w pierwszej części teistyczną i ateistyczną teoryę ewolucyi, wykazując wyższość i słuszność poglądu teistycznego, następnie w drugiej części zestawia ewolucyonizm z darwinizmem, przestrzegając przed ich utożsamianiem. Oto bieg myśli prelegenta. Jest właściwością umysłu ludzkiego, że wszelką nową teoryę stara się zaraz połączyć z jakimś ogólniejszym poglądem na świat. Tak się też stało z teoryą ewolucyjną. Z teoryi czysto przyrodniczej powstała przez uogólnienie teorya filozoficzna i na tem tle stoją naprzeciwko siebie dwie teorye ewolucyi: monistyczna i teistyczna. Jak wielka między niemi istnieje różnica, można najlepiej poznać z założeń jednej i drugiej Oto założenia monizmu. Niema osobowego, pozaświatowego Boga-Stwórcy; wszechświat ze swemi prawami trwa od wieków. Świat organiczny powstał z nieorganicznego przez „samorodztwo". Wszystko w świecie odbywa się na podstawie praw mechanicznych; dążności celowej niema nawet u istot żyjących. Niema też różnicy istotnej między człowiekiem a zwierzęciem; niema w człowieku duchowej, nieśmiertelnej duszy.

Naprzeciw tych postulatów monizmu stoją następujące założenia teistyczne: Istnieje osobowy, od świata różny Stwórca, istota wieczna, nieskończenie doskonała, która ma racyę bytu sama w sobie, istota, która jest obecną we wszystkich stworzeniach i z niemi ustawicznie współdziała. Stosownie do takiego pojęcia Boga Stwórcy staje się też zrozumiałem pojęcie samego aktu stwórczego; wyobrazić sobie wprawdzie nie można, jak to, czego przedtem nie było, mogło zacząć istnieć, ale pojąć można, że Bóg, jako nieskończenie doskonały, miał dosyć mocy i potęgi, żeby wywołać z nicości byty skończone. W chwili stworzenia pierwszych elementów materyi włożył zarazem w nią Bóg tę prawidłowość, która potem przez dalszą ewolucyę wytworzyła dzisiejszy nieorganiczny wszechświat. Powstanie pierwszych organizmów należy przypisać tak zwanemu aktowi stwórczemu, o ile trzeba było ingerencyi Boga, aby materya nieorganiczna przeszła w żyjącą. Przy utworzeniu pierwszych organizmów włożył też Stwórca w świat organiczny pierwsze prawa rozwojowe, umożebniające i czynności życiowe i dalsze przekształcanie się osobników. Co się tyczy człowieka, to należy go pojmować jako istotę złożoną z ciała i z duszy duchowej i nieśmiertelnej, przez którą wyróżnia się on istotnie od zwierząt.

Jeżeli teraz zapytamy, która z tych teoryj: monistyczna, czy teistyczna, jest prawdziwa, odpowiedź musi stanowczo wypaść na korzyść drugiej. Jak bowiem widać z danego zestawienia obu teoryj — w teizmie mamy właściwie do czynienia z jedną tylko zagadką, z pojęciem stworzenia, które zresztą jest najzupełniej uzasadnione, gdy tymczasem monizm stawia nas wobec całego szeregu zagadnień całkiem dowolnych, by wspomnieć wieczność materyi, początek ruchu, sposób tłómaczenia porządku i celowości w świecie, oraz zjawisk życia. Co wiecznie samo z siebie istnieje, zmianom podlegać nie może; jakże tedy pogodzić wieczność materyi z jej ustawiczną zmiennością? A dalej nasuwa się dylemat: albo ta wieczna materya była zawsze w ruchu, albo też była początkowo w spoczynku i dopiero później poruszać się zaczęła? Jeżeli materya od wieków była w ruchu, to trudno zrozumieć, dlaczego dotąd jeszcze nie nastąpiła równowaga energii, nie nastąpiła martwota zupełna na świecie; jeżeli zaś materya dopiero po pewnym czasie weszła w ruch, to wolno się pytać: skąd się wziął ten ruch, jaka tego przyczyna, że od wieków spoczywająca materya naraz się ocknęła i sama ruszać się zaczęła? Wobec tego dylematu monizm jest bezradny. A porządek i celowość w świecie jak wytłómaczyć bez przyjęcia Stwórcy? Tylko istota rozumna zdolna jest poznać cel i porządek, tylko istota rozumna mogła być ładu i celu przyczyną Również i to jest widocznem, że monistyczny sposób tłomaczenia zjawisk życia samemi chemicznemi i fizycznemi siłami zadowolić nie może. Istnieje bowiem zasadnicza różnica między życiem a martwotą, z czego wynika, że w istotach żyjących oprócz sił fizycznych i chemicznych trzeba przyjąć pewien wewnętrzny pierwiastek życiowy, posługujący się temi siłami do spełniania czynności życiowych. Jeżeli znowu mowa o człowieku, to bez przyjęcia duszy duchowej i nieśmiertelnej niepodobna wyjaśnić całego szeregu zjawisk psychologicznych, aktów i przymiotów, których u zwierząt nie napotykamy. Gdy te ostatnie w swem poznaniu i pożądaniu nie wychodzą poza sferę zmysłową, człowiek rozumem i wolną wolą, zdolnością mowy, nauki i postępu, religią i moralnością, wznosi się tak wysoko, że zapatrywanie monistów o stopniowej tylko różnicy między człowiekiem a zwierzęciem ostać się nie może. To też kończy tę pierwszą część odczytu Wasmann słowy: „Muszę otwarcie powiedzieć: co do mnie, żadną miarą nie wstydzę się jako przyrodnik, że jestem zwolennikiem teistycznego poglądu na świat, gdyż uważam go za jedynie słuszny“.

Przechodząc do drugiej części odczytu o stosunku teoryi ewolucyjnej do darwinizmu, tłómaczy się najpierw prelegent, dlaczego tę kwestyę porusza. Powód tkwi w tem, że dla wielu ewolucyonizm a darwinizm to pojęcia równoznaczne. A przecież na takie utożsamianie, za które znaczną część winy ponosi Haeckel swemi pismami popularnemi, żadną miarą zgodzić się nie można. Ewolucyonizm jest pojęciem szerszem, ogólniejszem i oznacza teoryę, przyjmującą powstawanie i rozwój nowych gatunków z form dawniejszych, natomiast darwinizm oznacza pewną szczegółową formę teoryi ewolucyjnej, która tłómaczy sposób rozwoju i powstania gatunków, a tłomaczy przez dobór naturalny, analogiczny do używanego przez ludzi doboru sztucznego. Jak mianowicie przez umiejętną hodowlę roślin i zwierząt, a szczególnie przez stosowne krzyżowanie osobników, posiadających pewne zboczenia przypadkowe, powstają najrozmaitsze odmiany i rasy — tak zdaniem Darwina pod wpływem doboru naturalnego, czyli raczej powszechnej walki o byt, dokonywały się w przyrodzie w ciągu wieków powolne przemiany ustrojów mniej doskonałych w doskonalsze i dawały początek nowym gatunkom. Pojęcie darwinizmu jako teoryi doboru naturalnego jest i najpierwotniejszem i najwłaściwszem. Można jednak spotkać się i z innemi jeszcze znaczeniami tego wyrazu „darwinizm". I tak, dla niektórych utożsamia się darwinizm z poglądem na świat monistycznym we formie „haeckelianizmu", który nie przyjmuje Boga Stwórcy. Inni znowu rozumieją przez darwinizm teoryę doboru naturalnego, przystosowaną do człowieka Nie trudno osądzić, że można być ewolucyonistą, zwolennikiem rozwoju gatunków, a nie przyjmować żadnej z przytoczonych form darwinizmu. Co się tyczy w szczególności pierwszej formy, to wielu dzisiejszych zoologów, jak n. p. Driesch, odrzuca zupełnie teoryę doboru naturalnego. Według Wasmanna można jej przypisać pewne znaczenie, znaczenie czynnika pomocniczego o charakterze negatywnym, o ile z pomocą doboru naturalnego można wyjaśnić znikanie cech dla gatunku nieprzydatnych lub szkodliwych. Natomiast odrzucić trzeba stanowczo drugie i trzecie znaczenie darwinizmu, gdyż drugie równa się odrzuconemu już monizmowi ateistycznemu, trzecie opiera się na nieuzasadnionem przypuszczeniu, jakoby człowiek był tylko doskonalszem zwierzęciem. Wywody o teistycznym i ateistycznym ewolucyonizmie zakończył prelegent uwagą, że w niektórych kołach przyrodniczych panuje pewien rodzaj teofobii, która drży na samo wspomnienie Stwórcy. Pochodzi to po większej

części z niedostatecznej znajomości chrześcijańskiej filozofii i teologii. Dawniej była ta choroba między przyrodnikami prawie nieznana, a nawet sam Darwin [1]), który dla wielu nowszych jest wyrocznią, zamknął najgłówniejsze swoje dzieło: „O pochodzeniu gatunków“ wspaniałą apostrofą na cześć Boga-Stwórcy.

Odczyt trzeci poświęcił Wasmann pytaniu, czy teoryę ewolucyi można zastosować do człowieka.

Nie łatwa to kwestya do rozstrzygnięcia — zaznacza we wstępie prelegent — głównie dlatego, że wkracza w dziedzinę wielu umiejętności. Prócz nauk przyrodniczych także teologia i psychologia domagają się tutaj stanowczo głosu. To też trzeba się danej kwestyi przypatrzeć z różnych punktów widzenia, aby ją należycie rozstrzygnąć.

Można słyszeć i czytać zdania o tak zw. zoologicznej oczywistości pochodzenia człowieka od zwierząt. Gdyby taka oczywistość naprawdę istniała, to trzebaby powiedzieć, 1) że zoologia jest nauką, która w pierwszym rzędzie lub wyłącznie ma decydować o kwestyi pochodzenia człowieka; 2) że zoologia pochlubić się może dowodami, które stwierdzają napewno pochodzenie człowieka od zwierząt. Przy bliższem rozbiorze jedno i drugie okazuje się nieprawdziwem.

A najpierw wyłączna czy główna kompetencya zoologii do rozstrzygania kwestyi pochodzenia człowieka dałoby się tylko w tym razie uzasadnić, gdyby człowiek nie był niczem więcej jak zwierzęciem. Lecz człowiek, jak już mówiliśmy, różni się istotnie od zwierząt; posiada bowiem prócz niższej części istoty, wspólnej ze zwierzętami, część wyższą, duszę duchową, przez którą wznosi się ponad całe królestwo zwierzęce. Wobec tego w kwestyi pochodzenia człowieka chodzi głównie o pochodzenie duszy, a tutaj pierwszy i decydujący głos ma nie zoologia, lecz psychologia. Jeżeli ta ostatnia powie i powiedzieć musi, że dusza ludzka jako substancya pojedyncza i duchowa nie może powstać drogą rozwoju z duszy zwierzęcej, ale jedynie przez akt stwórczy Boga, to dla zoologii pozostanie tylko podrzędna kwestya, czy przynajmniej dla ciała człowieka można przyjąć początek zwierzęcy.

Nie inaczej przedstawia się sprawa pochodzenia człowieka ze stanowiska teologicznego. Religia mojżeszowa i chrześcijańska

---

[1]) Jakkolwiek w późniejszych latach skłaniał się Darwin więcej do agnostycyzmu, to przecież owego ustępu o Bogu nie skreślił w dalszych wydaniach swej książki, z czego okazuje się, że i później nie wstydził się dawnego teizmu.

na podstawie opisu biblijnego utrzymuje, że człowiek zawdzięcza swój początek Bogu i to w sposób odmienny, niż inne zwierzęta. „Bóg, mówi Pismo św., utworzył człowieka z mułu ziemi i tchnął w oblicze jego dech żywota“. To ostatnie wyrażenie jest bezsprzecznie obrazowem na oznaczenie duszy i tutaj inne tłómaczenie jest niedopuszczalne. Co się tyczy znowu utworzenia ciała ludzkiego z „mułu ziemi“, to poważna większość teologów rozumie to w ten sposób, że Bóg ożywił duszą ludzką bezpośrednio materyę nieorganiczną. Nie jest jednak rzeczą bezwzględnie konieczną uważać tego rodzaju tłómaczenie za jedynie uzasadnione, raz, że niema w tym względzie decydującego wyroku Najwyższego Sędziego Kościoła, a powtóre przez „ziemię“ o której mowa, możnaby rozumieć w duchu ewolucyjnym ziemię już uorganizowaną. W obec tego teologia nie krępuje wcale nauk przyrodniczych w badaniu początku człowieka co do ciała i przy swem dotychczasowem twierdzeniu, że człowiek nawet co do ciała nie pochodzi od zwierząt lecz bezpośrednio od Boga, upierać się nie będzie, jeżeli tylko przeciwne zdanie będzie poparte pewnymi i niezbitymi dowodami.

Obecne dowody, jakie nauka przytacza za pochodzeniem człowieka od zwierząt, nie mają siły przekonywującej. Można je podzielić na dwie grupy: na dowody zoologiczne i paleontologiczne.

Do dowodów zoologicznych należą przedewszystkiem te, których dostarcza morfologia porównawcza. Wykazuje ona wielkie podobieństwo w budowie i kształtach ciała ludzkiego i ciała małp, a temsamem czyni bardzo prawdopodobnym wniosek, że człowiek i małpa mają wspólne pochodzenie. Atoli zauważyć trzeba, że obok pewnego podobieństwa w ogóle istnieją też znaczne różnice w szczegółach, różnice tak znaczne, że prowadzą znowu do wprost przeciwnego wniosku. Dość n. p. porównać czaszki ludzkie z czaszkami małp, aby przyznać racyę tym, którzy mówią, że człowiek uważany tylko pod względem anatomicznym nie należy do żadnej kategoryi zwierząt.

Drugiem źródłem dowodów zoologicznych w kwestyi pochodzenia człowieka od zwierząt jest porównawcza historya rozwoju jednostki. Tutaj stoimy wobec tak zw. prawa biogenetycznego Müllera i Haeckla. Opiewa ono, że rozwój osobnika jest powtarzaniem w strąceniu i z małemi zmianami rozwoju pnia czyli ontogeneza równa się filogenezie. Stosując to prawo do człowieka, Haeckel przyjął aż 22, później 30 stopni, w rozwoju zarodka ludzkiego, które odpowiadają tyluż stopniowym formom

zwierzęcym w rozwoju gatunku ludzkiego. Nie brak zoologów, którzy prawo biogenetyczne zupełnie odrzucają. Choćby jednak tak daleko się nie posuwać, to w każdym razie na podstawie nowszych badań tyle powiedzieć trzeba, że wspomniane prawo nie jest ani pewnem, ani tak powszechnem, by się dało stosować do człowieka.

Trzecim dowodem pochodzenia człowieka od zwierząt mają być t. zw. narządy szczątkowe, czyli organa nierozwinięte należycie, a tem samem bez znaczenia dla człowieka. Najprawdopodobniej mają to być pozostałości po przodkach zwierzętach. Tu jednak przychodzi mimowoli na pamięć fakt, który świadczy na niekorzyść przytoczonego dowodu: że nieraz już uciekano się do hypotezy narządów szczątkowych, a później musiano ją zarzucić, bo pokazało się, że organa rzekomo „zmarniałe“ mają swoje znaczenie i zadanie w organizmie ludzkim.

Wreszcie powołują się zwolennicy pochodzenia człowieka od zwierząt na zjawisko odkryte przez Friedenthala, że krew ludzka rozkłada ciałka czerwone krwi u małp niższych, a nie rozkłada u wyższych. Ponieważ tego rodzaju reakcya krwi zjawia się u gatunków systematycznie najbliższych, przeto można wnioskować, że człowiek nietylko od małpy pochodzi, ale jest z nią bezpośrednio spokrewniony. Kto za dużo dowodzi, niczego nie dowodzi — możnaby zastosować do przytoczonego dowodu. Pomijając, że nowsze badania samego Friedenthala zachwiały dawnymi wynikami, niepodobna w każdym razie zgodzić się na wniosek, który utożsamia dwie całkiem różne rzeczy. Co innego bowiem jest podobieństwo chemiczno-fizyologiczne dwóch krwi, a co innego ścisłe pokrewieństwo rodowe; drugie z pierwszego wcale nie wynika. Wogóle jeżeli się bezstronnie rozważa racye zoologiczne pro et contra w kwestyi pochodzenia człowieka, to powiedzieć trzeba, że przynajmniej teorya, wyprowadzająca nasz rodowód wprost od małp, utrzymać się nie da (Vogt, Haeckel, Selenka i inni). Niektórzy nowsi, jak np: Klaatsch, Stratz, Alsberg, starają się wybrnąć z trudności przypuszczeniem, że człowiek nie pochodzi bezpośrednio od małpy, lecz że małpa i człowiek są końcowemi ogniwami dwóch łańcuchów istot, rozwijających się niezależnie od siebie, a pochodzących od jednej wspólnej, bliżej nieznanej formy zwierzęcej, która miała żyć przed okresem trzeciorzędnym. Jest ona może zoologicznie więcej prawdopodobną, ale znowu ma przeciw sobie paleontologię, która odnalazła wiele kopalnych gatunków małp i małpiątek, ale nie może dotąd pokazać ani jednej formy pośredniej między czło-

wiekiem a zwierzęciem. Ani bowiem małpolud (Pithecanthropus erectus) znaleziony w roku 1894 na Jawie, ani sławny szkielet neanderthalski (Homo primigenius), odkryty w roku 1857 pod Düsseldorfem, za takie formy pośrednie uchodzić nie mogą. Pierwszy zdaniem fachowych a bezstronnych uczonych jest zwykłą małpą; drugi starszą rasą obecnie żyjącego: Homo sapiens.

Odczyt trzeci i ostatni [1]) zakończył Wasmann pięknem porównaniem poglądu chrześcijańskiego ze skałą morską, która niewzruszenie stoi, mimo że od czasu do czasu uderzają o nią gwałtowne fale zmieniających się systemów wiedzy ludzkiej. Nie obaliły tej skały przed 350 laty fale nowego systemu Kopernika, nie obalą jej i teraz fale teoryi ewolucyjnej. I dlaczego? „Bo skała i fala są naturalnymi przyjaciółmi. Ludzka wiedza i wiara chrześcijańska nie stoją wrogo naprzeciwko siebie. Obie są strumieniami z pierwszego źródła, z jednej nieskończonej, wiecznej i Boskiej mądrości. A ta mądrość sobie nie może się sprzeciwiać, czy w tym czy w owym języku do nas przemawia. Między wiarą chrześcijańską a naukami przyrodniczemi nie może być prawdziwego przeciwieństwa“. *Ks. dr. A. Macko.*

Modernizm religijny.

(C. d. encykliki Pascendi dominici gregis).

O kulcie. Z kultem krótko możnaby się załatwić, gdyby tem mianem nie oznaczano także Sakramentów; pełne błędów o nich w zapatrywaniach modernistów. Utrzymują, że kult z podwójnego popędu albo podwójnej powstaje konieczności; wszystko bowiem przypisuje się w ich systemie, jak widzieliśmy, tajemniczym popędom albo koniecznościom. Pierwszy popęd usiłuje nadać wierze szatę zewnętrzną; drugi pragnie wiarę rozszerzyć, czego bez jakiejś formy zewnętrznej i uświęcających czynności, które nazywamy Sakramentami, dokonać nie można. Dla modernistów jednakże Sakramenta są zwykłymi symbolami albo znakami, lubo niepozbawionemi siły. Aby ją określić, porównują je z pewnymi wyrazami; wyrazów tych ogólnie się używa, ponieważ nabrały siły do szerzenia pewnych poglądów potężnych a wstrząsających niesłychanie duszami. Jak one wyrazy wpływają na poglądy, tak Sakramenta na uczucie regijne: to wszystko. Jaśniej wyraziliby się zaprawdę, gdyby oświadczyli, że Sakra-

---

[1]) Bliższe szczegóły dotyczące kwestyj poruszonych w tych odczytach znaleść można we wspomnianej już książce Wasmanna: Die moderne Biologie und die Entwickelungstheorie. (3 wyd. 1906).

menta jedynie do wzmocnienia wiary zostały ustanowione. Ale takie orzeczenie potępił Sobór Trydencki: *Jeżliby ktoś twierdził, że Sakramenta ustanowione zostały jedynie dla wzmocnienia wiary' niech będzie wyklęty*[1]).

O księgach św. i inspiracyi O istocie i powstaniu ksiąg św. mówiliśmy już nieco. Wedle zasad modernistów możnaby je słusznie określić jako zbiór *doświadczeń*, nie nasuwających się wszędzie każdemu człowiekowi, ale nadzwyczajnych i wybitnych, które zachodziły w każdej religii. — Taka jest po prostu nauka modernistów o naszych księgach Starego i Nowego Testamentu. Z wielką jednakże chytrością dorzucają do poglądów swoich uwagę: lubo doświadczenie obejmuje teraźniejszość, może przecież materyał czerpać z przeszłości albo z przyszłości; w ten sposób naturalnie człowiek wierzący *odczuwa* zdarzenia minione przez wspomnienie, zdarzenia przyszłe przez zajęcie się niemi uprzednie, jakby zachodziły *w teraźniejszości*. To zaś jest wyjaśnieniem rozdzielania ksiąg św. na historyczne i apokaliptyczne — Bóg więc mówi w tych księgach przez człowieka wierzącego, ale jak uczy teologia modernistów, jedynie przez *immanencyę i permanencyę żywotną*. — Nasuwa się pytanie, co sądzić wtedy o inspiracyi? Nie różni się ona, odpowiadają, wcale, chyba większą tylko siłą, od onego popędu, który zniewala wierzącego do wyjawienia wiary swej słowem i pismem. Podobne zjawisko znachodzi się w inspiracyi poetyckiej; stąd powiedział ktoś: Bóg znajduje się wśród nas; skoro On działa, ogarnia nas zapał. W ten sposób Boga uważać należy za źródło inspiracyi ksiąg św. — O inspiracyi uczą nadto moderniści, że ona wszystko wogóle w księgach św. obejmuje. Wobec takiego twierdzenia, możnaby ich uważać za prawowierniejszych jeszcze, aniżeli nowszych teologów niektórych, którzy inspiracyę nieco zacieśniają, wprowadzając n. p. t. z. *cytacye niezaznaczone*. Ale puste to tylko dźwięki i udawanie. Jeżli bowiem Pismo św. wedle zasad agnostycyzmu uważa się za dzieło ludzkie, przez ludzi i dla ludzi utworzone, lubo teolog z powodu *immanencyi* słusznie świętem je nazwie: w jaki sposób można inspiracyę zacieśnić? Moderniści przyznają, co prawda, ogólną inspiracyę ksiąg św.: nie uznają jej jednakże w znaczeniu katolickiem.

O Kościele. Jeszcze bujniejsze są fantazye modernistów o Kościele. — Twierdzą, że Kościół z podwójnej powstał konieczności; pierwsza w każdym przejawia się człowieku, zwłaszcza, skoro pozyskał jakieś pierwotne, szczególne doświadczenie, a przejawia się w dążności, aby wiarą podzielić się z innymi ludźmi; druga konieczność występuje, skoro wiara ogólną stała się własnością, w *większem zgromadzeniu* (in collectivitate), aby zrzeszyć się i wspólny skarb zachować, powiększyć, rozszerzyć. Czemże więc jest Kościół? Owocem *samowiedzy kollektywnej*, czyli zrzeszenia się poszczególnych samowiedz, które wedle *permanencyi żywotnej* od pierwszego człowieka wierzącego zależą,

[1]) Sess. VII. de Sacramentis in genere, can. 5.

dla katolików naturalnie od Chrystusa. — Dalej potrzeba stowarzyszeniu każdemu autorytetu rządzącego, którego zadanie na tem polega, aby członków wszystkich wiódł do wspólnego celu i roztropnie stawał w obronie poszczególnych czynników całego organizmu, czynników, składających się w zgromadzeniu religijnem z nauki obrzędów. Stąd potrójna w Kościele katolickim władza: *dyscyplinarna, dogmatyczna i liturgiczna*. — W końcu należy istotę tej władzy wywnioskować z jej powstania; z istoty zaś onej władzy wysnuć jej prawa i przywileje. W wiekach dawniejszych mniemano błędnie, że Kościół zewnątrz, bezpośrednio od Boga otrzymał władzę. stąd słusznie uważano ją za *autokratyczną*. Ale obecnie pogląd to przestarzały. Jak Kościół wedle ich zapatrywań powstał z zespolenia samowiedz, tak podobnie wypłynęła władza z Kościoła samego. Władza więc, jak Kościół, dźwiga się z samowiedzy i stąd od niej zależy; jeżli zależnością tą gardzi, zamienia się w samowładztwo. Żyjemy przecież obecnie w czasie, w którym poczucie wolności najzupełniej się rozwinęło. W państwie świeckiem wprowadziła samowiedza publiczna rządy nad ludami. A samowiedza jest jedna w człowieku, jak jedno jest w nim życie. Jeżli więc Kościół w sumieniach ludzkich nie chce rozbudzić i rozpłomienić walki wewnętrznej, winien demokratyczny przybrać ustrój. tem więcej, że zagraża mu zguba, jeżli tego nie uczyni. Bo trzebaby zaprawdę być z rozumu obranym, aby sądzić, że w poczuciu wolności, istniejącem obecnie, nastąpi zwrot kiedykolwiek. Skrępowane i powstrzymywane przemocą, wybuchnie ono tem gwałtowniej i zburzy Kościół i religię równocześnie.—Wszystko to wnioski modernistów, którzy usilnie szukają dróg, aby pogodzić władzę Kościoła z wolnością wierzących.

Kazanie na 40-godzinne nabożeństwo.

(W parafi rozdartej agitacyami).

„*Wyniszczył siebie samego*“.
Słowa św. Pawła o P. Jezusie, wyjęte z jego listu do Filipensów 2, 7.

Najmilsi! Aby określić miłość P. Jezusa ku nam, nie można było zaiste wynaleźć dobitniejszego wyrażenia, jak to, które na wstępie przytoczyłem: „Wyniszczył siebie samego“. W tych słowach bowiem zawarte jest wszystko, co Chrystus Pan dla nas uczynił. „Wyniszczył siebie samego“ — a więc wszystko: Swoje życie, Swoją duszę, Swoją Krew Najśw. — wszystko wyniszczył, aby nam okazać, jak bardzo nas miłuje! Słowa te, jeźli gdzie, to przedewszystkiem do Najśw. Sakramentu można przepięknie zastosować, bo tu nietylko człowieczeństwo Swoje, ale i majestat Swój Boski, Swoje Bóstwo ukrył P. Jezus i wyniszczył, aby mógł mieszkać między nami, aby się z nami zbratać, aby być między nami tym łącznikiem, co z nas chrześcijan czyni Jego owczar

nię i jakby jednę rodzinę. „Wyniszczył siebie samego“, aby się stać naszym pokarmem, aby się z nami spokrewnić i nas między sobą zbliżyć i połączyć, abyśmy byli „jedno“, t. j. abyśmy wszyscy wspólnie „jedno“ myśleli, „jednego“ pragnęli i do „jednego“ dążyli, jako On i Ojciec Jego niebieski „jedno“ są. (Jan 17, 21). Jeżeli tedy w tej parafii panuje pewne rozdwojenie, jeżeli obok prawowitego waszego pasterza, który wam głosi tę miłość Chrystusa Pana w Najśw. Sakramencie ku wam i do „jedności“ z Nim i między sobą was zachęca, powstają tu różni agitatorowie, co was od tej „jedności“ z Chrystusem Panem odrywają, to czegóż to dowodzi? To jest dowodem, że ten chleb anielski, co miał być pokarmem dusz waszych, stał się dla niektórych z was trucizną! Do zbałamuconych serc swoich wprowadzili ci „wilcy“ Najśw. Jagniątko i poszarpali Je! A ponieważ sumienie gryzie ich za to i nie daje im spokoju, więc ruszają się, krzątają się, aby i drugich do podobnej agitacyi nakłonić, bo sądzą, że towarzystwo w złem usprawiedliwi ich złość. Ale mylą się! Choćby i całą parafię poróżnili, to spokoju i usprawiedliwienia nie znajdą, tak jak go nie znalazł Judasz, który znalazl wielu naśladowców w zdradzie P. Jezusa, ale tem się nie usprawiedliwił i od kary wiecznej się nie uwolnił, owszem na tem większe zasłużył potępienie.

Stojąc teraz wobec tej Najśw. Tajemnicy, w której mamy dokładny obraz „wyniszczenia się“ P. Jezusa z miłości ku nam i mając na pamięci to rozdwojenie, jakie panuje tu w tej parafii, o czemże innem mógłbym dziś do was mówić, jeźli nie o tem, że tylko i jedynie godne przyjmowanie P. Jezusa w Najśw. Sakramencie, w Komunii św. może was wszystkich znowu zespolić i połączyć w „jedno“, tak jak Chrystus i Ojciec Jego „jedno“ są? Tak jest! Godne i częste przyjmowanie P. Jezusa w Najśw. Sakramencie, to jedyny znak, po którym można poznać prawowitych chrześcijan-katolików! Kto często przyklęka tu przy Ołtarzu i łączy się godnie z P. Jezusem w Najśw. Sakramencie, o tym na pewno można powiedzieć, że jest dobrem i wiernem dzieckiem Kościoła św.! To za łaską Bożą będę się starał wykazać wam w tej mojej przemowie ku większej chwale Bożej i pożytkowi dusz waszych. W czem, aby ten miłosierny Jezus raczył mnie i was wspomódz Swoją najw. łaską, poprośmy Go o to pokornie, mówiąc po trzykroć: Chwała i dziękczynienie bądź w każdym momencie.....

* * *

Ktokolwiek z was czytał kiedy „Żywoty Świętych“, musiał z pewnością wyczytać i to, że mnóstwo Swiętych żyło w takich czasach, kiedy wiara nasza św. i jej wyznawcy byli wystawieni na straszne prześladowania i męczeństwo. Tak np. o św. Agacie czytamy, że święta ta panienka przechodziła najstraszniejsze katusze za to, że wiary swojej św. porzucić nie chciała. Rozpięto Ją na czterech palach i smagano rózgami tak, że nagie kości z ciała Jej wyglądały—kleszczami żelaznymi targano Jej panień-

skie piersi i po jednej stronie wydarto je aż kości — tarzano Ją po rozpalonej blasze tak, że całe Jej ciało upieczonem zostało, a święta ta Panienka znosiła to wszystko z anielską cierpliwością i nawet z uśmiechem i radością — i wiary swojej nie wyrzekła się, lecz wytrwała w niej aż do końca i jako prawowierna chrześcijanka zakończyła życie swoje. Podobnych przykładów można się w Żywotach Swiętych doczytać mnóstwo. Czytając te rzeczy, albo słuchając ich, komuż z was nie przyszło na myśl pytanie: Zkąd tym Swiętym Pańskim taka siła i moc i takie męstwo, że dla miłości P. Jezusa i Jego nauki woleli najsroższe katusze ponosić, aniżeli Chrystusa Pana i Jego naukę opuścić? — zkąd im to zamiłowanie do nauki Chrystusowej? — zkąd im ta mądrość, że umieli złe od dobrego odróżnić, że wzgardzili wiarą pogańską, którą wyznawali cesarze ówcześni i książęta i wszyscy urzędnicy cesarscy i prawie wszyscy wielcy ludzie, a trzymali się tej właśnie wiary, która była prześladowaną i czyniła człowieka w pojęciu światowem nieszczęśliwym, bo narażała go na grabież ojcowizny, na prześladowanie i straszne katusze? Stawiając sobie to pytanie, wiem, że nie wszyscy umieliśmy sobie na nie odpowiedzieć — a na to łatwa jest odpowiedź. Ci wszyscy Swięci czerpali swe męstwo i mądrość jedynie z Komunii św, którą często, niektórzy nawet bardzo często, bo codzień, przyjmowali.

Chcecie i wy, najmilsi! wytrwać w wierze św. i nie dać się zbałamucić tym błędnym naukom, które wam tu z rozmaitych stron głoszą niepowołani nauczyciele? — chcecie zapewnić duszy swojej zbawienie i z Chrystusem kiedyś królować? to pamiętajcie dobrze, co wam powiem: przystępujcie często, a zawsze godnie do Komunii świętej, bo wtedy dusza wasza rozezna łatwo dobre od złego, wtedy wy, przesiąknięci Krwią Chrystusową i nosząc Chrystusa w sobie, „będziecie — jak mówi pięknie św. Jan Złotousty — jakoby lwy, pryskający ogniem, silni i straszni dla czarta nawet samego“ i nie będzie trudu i pokusy takiej, którejbyście nie mogli przezwyciężyć. Częsta a godna Komunia św. stanie wam się ową „wieżą Dawidową“ obronną i mocną, za której murami nie będziecie potrzebowali lękać się napadu nieprzyjacielskiego. „Padnie (wtedy) po boku twoim tysiąc, a dziesięć tysięcy po prawicy twojej — jak mówi Psalmista Pański (Ps. 90) — a ku tobie się nie przybliży, nie przystąpi do ciebie złe i nie przybliży się bicz do przybytku twego. Po żmiji i po bazyliszku chodzić będziesz i podepczesz lwa i smoka“! Ale to nie dosyć! Częsta i godna Komunia św. przyniesie wam coś więcej, niż siłę i moc. Pismo św. opowiada, że kiedy Obededom przyjął do domu swego Arkę przymierza, weszło z nią razem pod jego strzechę szczęście i błogosławieństwo Boże. Najmilsi! wy w Komunii św. nie Arkę, nie figurę Zbawiciela, ale samego P. Jezusa żywego, z całem Jego Bóstwem i człowieczeństwem, do duszy waszej wprowadzacie, a przez to — prawdziwie serce truchleje i usta niemieją, co się przez to w duszy waszej dzieje! — przez to wprowadzenie P. Jezusa do duszy

*

waszej łączycie się z Nim tak ściśle, że—jak On sam powiedział—stanowicie z Panem Jezusem „jedno“—„we mnie mieszka, a ja w nim“ (Jan 6, 75) — wtedy krew wasza łączy się najściślej z Krwią Chrystusa, Serce Jego łączy się z sercem waszem i cała istota Jezusa łączy się z istotą waszą tak, że słusznie może wtedy powiedzieć każde z was: „Żyję już nie ja, ale żyje we mnie Chrystus“ (do Gal 2, 20), a z Chrystusem przychodzi do serca waszego i błogosławieństwo Jego święte i szczęście i spokój sumienia i zadowolenie wewnętrzne i wszelka łaska Boża. Częsta i godna Komunia św. uczyni was w najściślejszem tego słowa znaczeniu krewnymi samego Boga Jezusa Chrystusa i zespoli was i zjednoczy z Nim najściślej! Przeciwnie! zaniechajcie Komunii św, albo przystępujcie do niej tylko rzadko, bez należytego przejęcia się, od zwyczaju tylko, raz na rok, jak to wielu czyni, a wtedy słaniać się będziecie jak ta gałąź, odcięta od pnia, jak ta owca błędna, co opuściła trzodę i poszła na manowce i ginie marnie z głodu lub wilk ją porywa; uschniecie na duszy i zmarniejecie nędznie w błędach ograniczonego waszego rozumu!

Drodzy moi słuchacze! wy nie jesteście dziećmi i rozumiecie dobrze, co na co wychodzi — powiedzcież więc sami, co jest przyczyną, że wielu pośród was zeszło już na manowce i dało się porwać w wir tej nowej jakiejś nauki, co to chciałaby mieć kościół, ale bez księdza, albo co chciałaby może mieć księdza, ale takiego, coby na wszystko pozwalał i obojętnem patrzył okiem na to, co się z owieczkami Chrystusowymi dzieje, nauki, co głosi jakąś równość przesadną, równość majątku i raj na ziemi chłopom obiecuje, ale obiecuje tylko, bo tyle lat już głoszą prewodyrzy tę naukę, ale nic a nic jeszcze chłopskiej doli nie ulżyli—co jest przyczyną, pytam się, że niektórzy z was opuszczają naukę Chrystusa, a przyjmują tę błędną jakąś nową naukę? Czy nie to, że albo zupełnie już zaniedbali spowiedź i Komunię św., albo rzadko bardzo i od zwyczaju tylko i niegodnie ją przyjmują? Jeżli nie tak, to pokażcie mi, proszę, choć jednego z tych, co nowe jakieś nauki przyjął, a bywał jeszcze mimo to do spowiedzi i do Komunii św.? Tego nie dokażecie, bo jako ogień z wodą, tak nauki nowe społeczne z Komunią św. zgodzić się nie mogą! Ale idźmy dalej i spytajmy się, czy znajdzie się tu choć jeden człowiek, coby często przystępował do Komuni św., co tydzień n. p. albo co miesiąc, a nowe nauki „postępowe“ przyjął? Prawda, że nie!? Albo idźmy jeszcze dalej i spytajmy się, czy nowe nauki, z pism zakazanych zaczerpnięte, zrobiły kogo ze swych wyznawców świętszym, pobożniejszym, posłuszniejszym Kościołowi, niż był przedtem? Prawda, że nie? I dalej! Co to za apostołowie, co to za misyonarze są ci, co tę naukę nową głoszą? Czy to jacy aniołowie z nieba? Czy to jacy prorocy? Czy to jacy poświęceni ludzie, jak n. p. my kapłani? Czy to uczeni ludzie, co się w szkołach na to edukowali, żeby drugich uczyć i nauki im głosić? Prawda, że także nie? A choćby też i tak było, to Duch św. dawno już przewidział takich fałszywych nauczycieli i powiedział, że „choćby też i anioł

z nieba przyszedł“ (do Galat. 1, 8), a uczyłby was co innego, jak uczy Kościół św., tj. prawowity i od Biskupa posłany wasz duszpasterz, to mu nie wierzcie, to go nie słuchajcie! Jeżli tedy ta nauka nowa sprzeciwia się we wszystkiem nauce Chrystusowej i czyni ludzi nie lepsznymi, ale gorszymi — jeżli tę naukę nową głoszą ludzie do nauczania drugich wcale niepowołani, to cóż sądzić o tych, co tę naukę nową wyznają, albo o tych, co tej nauki słuchają i dają się bałamucić? Nie masz tu innego określenia dla nich, tylko — że już delikatnie tylko powiem — że są to ludzie nieszczęśliwi, bo stali się gałęzią, odciętą od pnia, w której niemasz soków i sił do życia na żywot wieczny, stali się owcami zbłąkanemi, które nie mają dobrej i dosyć paszy i dlatego muszą zmarnieć dla życia wiecznego! Nie łączą się z P. Jezusem w Najśw. Sakramencie, nie płynie już w ich żyłach Przenajśw. Krew P. Jezusa, bo Jej nie piją w Komunii św., więc przestają też być krewnymi P. Jezusa, więc Go już nie kochają, więc nas kapłanów, głoszących miłość Chrystusa w Najśw. Sakramencie, nie rozumią, więc na was, co się trzymacie jeszcze wiary Chrystusowej, krzywo patrzą i akuratnie tak robią, jak uczynił djabeł, kiedy widział pierwszych naszych rodziców szczęśliwymi w raju: gadają, krzyczą dużo, aby was tylko zbałamucić i na wieki nieszczęśliwymi uczynić.

Drodzy moi! powiedziałem wam na wstępie, że Najśw. Sakrament to jest ten łącznik, co nas wszystkich chrześcijan-katolików łączy w jednę rodzinę Chrystusową i tak jest w istocie! Tak, jak mowa jedna i obyczaje jednę i ziemia jedna, raczej kraj jeden, łączy wiele ludzi w jeden naród, a jedna i ta sama krew ojca i matki łączy wiele dzieci w jednę familię, tak Krew Chrystusowa łączy znowu tych wszystkich, co się tą Krwią zasilają, w jednę owczarnię Chrystusową, którą Kościołem nazywamy. Jeżli tedy widzicie, że apostołowie nowej nauki nie klękają tu razem z wami do stołu Pańskiego, albo klękają jeszcze, ale rzadko i obłudnie, aby was tem pewniej uwieść na lep nowej nauki, to czegóż to dowodem? To dowodem, że oni nie chcą należeć do tej wspólnej rodziny Chrystusowej, widać, że oni pragną zerwać ten węzeł jedności, tej świętej jedności, w której nas zespala Najśw. Sakrament, widać, że to nie nasi już ludzie; — byli nasi, wyglądają na naszych, ale naszymi już nie są, bo się nie trzymają tej jedności, w którą nas łączy Najśw. Sakrament; dlatego nie słuchajcie ich, dlatego cofnijcie się czemprędzej wy, coście się dali niebacznie zbałamucić, cofnijcie się i wróćcie do Jezusa! Ach! On tak boleje, żeście Go opuścili! — On tak czeka waszego powrotu i waszego upamiętania! Ach! drodzy Bracia moi! czy nie słyszycie, jak ten Jezus wzywa was wszystkich do Siebie? — Uciszcieno się i słuchajcie! jak słodko, jak rzewnie, jak łaskawie do was Jezus przemawia! Mówi On tak: „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i obciążeni jesteście“ (Mat. 10. 28.) — Źle wam, przykro wam, ciężko wam, bolesno wam, to nie chodźcież gdzieindziej, bo nigdzie ratunku nie znajdziecie, ale pójdźcie

do mnie, „a ja was ochłodzę“ — ja Pan i Bóg wasz, ja Ojciec wasz, ja, który z miłości ku wam „wyniszczyłem się“ — „ja was ochłodzę“! Nie żałowałem wam mojego Bóstwa, nie żałowałem wam mojego życia, mojej Krwi, wszystko i całego Siebie ofiarowałem za was i dla was, ratunku więc w waszej niedoli, pociechy w waszym smutku, pomocy w waszym niedostatku, czemuż miałbym wam żałować? „Pójdźcie (tylko) do mnie“, ale pójdźcie wszyscy — aż do ostatniego, albo raczej aż do pierwszego apostoła tej błędnej nauki — „wszyscy pójdźcie!... a ja was ochłodzę!“ Darowałem łotrowi na krzyżu i wziąłem go do nieba, przebaczyłem Magdalenie, wielkiej grzesznicy, uzdrowiłem tylu chorych, wskrzesiłem tylu umarłych, nakarmiłem tylu głodnych, czemuż was nie miałbym przyjąć do łaski Swojej? — czemuż nie miałbym was uzdrowić, pocieszyć i nakarmić? — Czyż nie jestem miłosiernym i wszechmocnym Bogiem, jako i przedtem? „Pójdźcież“ więc, „a ja was ochłodzę!“ Najmilsi! na ten głos, tak rzewny, tak łaskawy Pana i Boga waszego Jezusa Chrystusa, któż jeszcze doń nie „pójdzie“? Biednych i nieszczęśliwych między wami dużo i wielu z was wylewa może po cichu, tam w domu, w kąciku, ciche łzy na swój los, na swoje nieszczęście — „pójdźcież“ więc, ach! „pójdźcie“ do Jezusa; On was ochłodzi! Bracia moi! Nie w rozterce, nie w rozstrojeniu, ale w jedności, w jedności z Chrystusem w Najśw. Sakramencie, w jedności między sobą, znajdziecie dopiero siłę do zwalczania tego zła, które nas zewsząd otacza. Dość już rozdarta Ojczyzna nasza, czy jeszcze bardziej chcecie targać jej wnętrzności i to właśnie w chwili, kiedy nieprzyjaciel bardziej ją gnębi? Dość już rozdwojenia między nami chrześcijanami, którego naczyniły Lutry i Kalwiny, czy jeszcze my sami mamy rozdwajanie w samym Kościele wprowadzać? Dość już tego! Wróćmy do jedności! Bądźmy tem, czem nas Bóg dobry stworzył: prawowitymi katolikami i Polakami! Trzymajmy się jedności! Widać, że dobra ta nauka Chrystusowa, która już 19 wieków przetrwała; — wszystkie inne wstały i znikły, albo znikną, a ona zawsze ta sama, zawsze święta, zawsze czysta — po co nam innej szukać? Tej się trzymajmy, w tej żyjmy, a nie czepiajmy się innej! — A ponieważ ta prawdziwa wiara jest tu, gdzie Chrystus, który się „wyniszczył“ dla nas, jest tylko tu w Kościele, w jedności z prawowitym duszpasterzem waszym, więc tej wiary się trzymajcie, a zwyciężycie, wszystko złe zwyciężycie i pod opieką dobrego Jezusa w Najśw. Sakramencie doczekacie się lepszych czasów na ziemi i wiecznego szczęścia w niebie. Amen.

Ks. Adolf Albin,
proboszcz w Chełmie.

UROZMAICANIE NAUKI.

Kto naucza czegoś ważnego, pragnie, by naukę jego chętnie przyjmowano i głęboko w duszy zachowywano; jeźli chce to osięgnąć, musi obudzić uwagę stałą i ochoczą — uwaga znów trwać będzie, jeźli nauka cała będzie interesującą. Sposoby zainteresowania są przeróżne; jednym z najskuteczniejszych jest urozmaicanie nauki pod względem formy i treści.

Wszystko, co jednostajne, monotonne, nuży, chociażby było w przystępny sposób przedstawione i chociażby nawet interesowało z początku; bez tych warunków rzecz nietylko nuży, ale i nudzi. Cóż zaś warta nauka, która nudzi słuchaczy? Szkoda na nią czasu i zachodu, bo nie przyniesie żadnego pożytku ani co do zasobu wiedzy, ani pod względem formalnego rozwoju władz duszy. Gdy nauka nie nudzi, lecz nuży, zło jest mniejszem, ale także pokaźnem. Nuży zaś nietylko to, co przewyższa zdolności uczniów, ale i wszystko, co od jakiejś władzy duszy wymaga pracy wprawdzie dostosowanej do zdolności, ale zbyt długiej i natężonej, więc wszelka dłuższa jednostajność i monotonność w nauczaniu. Znuży uczniów, kto np. zadługo wymaga od nich natężonego myślenia, albo zadługo memoryzuje, czyli żąda wysiłku pamięci, albo zadługo gra na samych uczuciach, podając przewlekłe zastosowania moralne i t. p. Im uczniowie mniej są rozwinięci, tem szybciej owo znużenie się objawia. Dlatego jedną z kazdynalnych zasad nauczania w ogóle, a zwłaszcza nauczania elementarnego, jest: *urozmaicać naukę!*

Postulat ten powinno się mieć na pamięci nawet przy przedmiotach czysto teoretycznych; podwójnie obowiązuje on przy wyrabianiu zasad życia, więc przedewszystkiem w nauce religii. Uczeń, który się znużył, nie jest w stanie pojąć i zapamiętać nauki, a tembardziej nie potrafi przejąć się nią na wskroś, nie potrafi zastósować jej do życia. A przecież nie na to uczymy religii, by uczeń dostał z niej dobrą notę w świadectwie, lecz na to, by się nauczył *żyć religijnie*, by według zasad chrystyanizmu umiał i starał się urządzać całe swe życie prywatne, rodzinne, zawodowe i publiczne, stosunki towarzyskie, ekonomiczne, polityczne itd. Potrzeba oczywiście do tego ćwiczenia woli i sporo łaski Bożej, więc potrzeba, aby uczeń zaprawił się do korzystania ze środków łaski Bożej, ale niemniej potrzeba mu także zasady wiary i etyki ewangelicznej dobrze pojąć i niemi się przejąć; owszem słowo Boże okazuje się samo przez się jednym z najważniejszych środków do zyskania łaski Bożej.

Czy staramy się naukę religii urozmaicać?

Nie jest to trudnem, bo mamy różnorodne formy i toki nauczania i możemy jedne drugiemi przeplatać. Treść nauki religii katolickiej nie jest również jednolita jak np. nauka rachunków, lecz obejmuje sześć grup odrębnych, mianowicie mieści w sobie: dzieje biblijne, katechizm (względnie naukę wiary i obyczajów bez pytań w wyższem gimnazyum), dzieje Kościoła i żywoty Świętych, liturgikę, pieśni religijne, modlitwy. Wystarczy

do danej lekcyi przygotować z każdego z tych sześciu działów materyał odpowiedni i przy nowym członie pojęcia (przy pogłębianiu) każdy z tych działów lub przynajmniej kilka z nich wyzyskać, a nauka stanie się ze wszech miar urozmaiconą i uczniowie nużyć się nie będą.

Znamy proboszczów, którzy katechezy niedzielne w kościele w ten właśnie sposób przeprowadzają i osiągają rezultaty jak najlepsze. Kościół bywa na tych katechezach przepełniony, bo i dorośli chętnie na nie uczęszczają; nawet „kawalerya“ wiejska nie myśli wtenczas o allotriach poza drzwiami kościoła, lecz ciśnie się do wnętrza! Odbicie się tej prawdy można zauważyć nawet podczas kazań. Czyż wiele korzysta lud z kazania poprawnego, nawskróś dogmatycznego, głębokiego i logicznego, najeżonego cytatami i argumentami filozoficznymi? Ogół parafian drzemie wówczas, ziewa lub pokaszluje, choć wzdycha czasami z emfazą — bo kazanie ich znużyło. Niechno jednak kaznodzieja po wywodzie gruntowniejszym zacznie opowiadać jakiś przykład (może z Biblii lub z żywotów Świętych), a zaraz wygląd słuchaczy się zmieni. Szmery i pokaszliwania ustają, uwaga się ożywia, serca biją żywszem tętnem. Podobny skutek wywiera opowiadanie i wyjaśnianie jakiegoś obrzędu, z którym się lud często styka, wyjaśnianie pieśni znanej ludowi itp. Chciałoby się wobec tego powtórzyć za Ewangelią św.: „Kto ma oczy ku patrzeniu, niechaj patrzy“! Kto szuka klucza do umysłów i serc słuchaczy — oto go widzi przed sobą.

Łatwy to sposób i prosty, ale nie lekceważmy go dlatego, że prosty; w prostocie tej jest duch Boży. Istotnie kto przeczyta rozważnie Ewangelie św. i zastanowi się nad sposobem nauczania Boskiego Mistrza, zauważy tam nietylko obfitą poglądowość i obrazowość, nietylko prostotę w wyrażeniach, ale i dziwnie bogatą rozmaitość treści. Teolodzy niemieccy, którzy wszystko usiłują schematyzować i pod pewne kategorye jednolite podciągać, silili się na wykazanie, czy P. Jezus uczył tokiem analitycznym, czy syntetycznym i — nie doszli do ładu, bo z ręką na sumieniu musieli wyznać, że Zbawiciel nasz lubił różnorodność tak w sposobie nauczania jak w doborze materyału, chociaż głównej myśli nie zmieniał. Kto przeczyta sławne kazanie P. Jezusa na górze lub Jego mowę w wieczerniku, a zatem dwa najgłębsze i najdłuższe przemówienia, zauważy w nich co chwilę nowe a swojskie obrazy i porównania (miasto na górze, świeca, sól, lilie, wróble, belki, sposób budowania domu, uprawa winorośli, itp.), charakterystyczne sceny z życia (dobre uczynki Faryzeuszów, przysięganie się itp.), utarte a błędne teorye faryzejskie (pojęcie bliźniego) i tp. Przeważnie zaś nauczał Zbawiciel nie we formie kazań lecz przez przypowieści, tak iż zdaniem Ewangelisty „*krom przypowieści nie mówił im*“ — chociaż nauczał dorosłych! Mógłby zatem i pod względem metody i urozmaicania nauki powiedzieć P. Jezus: „*Dałem wam przykład, abyście jakom Ja czynił, i wy także czynili*“.

Jeżeli urozmaicanie treści i formy jest tak błogie w skutkach i nieodzowne przy katechizowaniu dorosłych i podczas kazań,

o ileż bardziej potrzebnem jest ono przy katechizowaniu dzieci! Czyż mamy rozwodzić się nad faktami tak oczywistymi, jak wrażliwość ale i słabość nerwów, uczuć i innych stanów psychicznych u dzieci? Jak przy ruchach fizycznych dziecko wnet się nuży i łaknie wypoczynku, a przynajmniej zmiany rodzaju ruchu, tak tembardziej przy wszelkiej pracy umysłowej dziecko nuży się szybko i potrzebuje wytchnienia lub urozmaicenia. Kary nic tu nie pomogą, owszem rozmijają się ze sprawiedliwością, bo spotykają dziecko za to, co nie jest jego winą lecz prostym wynikiem praw natury. Katecheta, który widzi, że większość uczniów w klasie okazuje znużenie i nieuwagę, a zamiast urozmaicić formę lub treść nauki, karci uczniów i usiłuje uwagę wymusić, jest złym psychologiem i celu nie osięgnie; wymusi co najwięcej spokój zewnętrzny, ale uwagi nie obudzi, owszem uczniów zrazi dla nauki religii w ogóle. Oby się to nigdy nie zdarzało!

Urozmaicajmy zatem formę nauczania, stosując raz tok naprowadzająco-egzegetyczny, innym razem (przy pojęciach już poznanych) tok egzegetyczno naprowadzający i posługując się opowiadaniem, lub poglądem z życia, pokazywaniem obrazu lub modelu, porównywaniem, odpytywaniem rzeczy wyłożonej, wypytywaniem (naprowadzaniem pytaniami) znamion nowych, gdy przesłanki wiedzą uczniowie jasno i pewnie itp. Urozmaicajmy także treść nauki, wciągając w każdą lekcyę wszystkie działy nauki religii, jak to n. p. wskazują katechizmy (krótki i średni) X. W. G. Cieszymy się, że krytycy katechizmów, chociaż niezawsze są życzliwi wydawnictwu X. W. G., coraz częściej odzywają się za podobnem urozmaicaniem nauki. Wystarczyło przypomnieć ideę, a oto już zwycięża! Owoce takiego postępowania wnet się ukażą i tak będą korzystne, iż chętnie z próby zrobimy regułę i nie przerywając logicznej jedności lekcyi, urozmaicać będziemy odtąd naukę starannie.

Czy katecheta jest równy nauczycielstwu?

(Dok.) Gdybyż zresztą przestrzegano wobec katechety tego równouprawnienia, o którem mówi ustawa! Gdy chodzi o obciążenie katechety, o przypomnienie mu obowiązków, umią władze szkolne powoływać się na odnośny paragraf, ale zapominają o nim, gdy chodzi o wynagrodzenie za pracę, o prawa i przywileje, którymi cieszą się inni nauczyciele. I tak: w każdej szkole utworzone są stałe posady kierowników i nauczycieli, a jeżeli szkoła się powiększa, bywa dobieranych tyle sił (zwłaszcza po miastach), ile potrzeba, aby nikt nadmierną liczbą godzin nie był przeciążony. Tego nie można powiedzieć o nauce religii. W wielu szkołach, po większych nawet miastach, liczba dzieci katolickich i godzin religii daleko przewyższa tę,

która jest przepisana, a jednak nie tworzy się posady katechety, z tej chyba przyczyny, by snadź zastępujące katechetę parafialne duchowieństwo nie pobierało wyższej renumeracyi.

Katecheta obowiązany jest wprawdzie do maximum 24 godzin tygodniowo, podczas gdy inni nauczycielo do 30; i całkiem słusznie, bo inne przedmioty nie są tak wyczerpujące, jak uczenie religii, zwłaszcza, że przeplatane są ćwiczeniami piśmiennemi. W praktyce jednak rzecz przedstawia się całkiem odwrotnie: nauczyciele po miastach mają około 20 godzin, zaś katecheta bardzo często musi mieć ponad 24, bo do kilku zbywających godzin nie dostanie pomocnika, a gdyby się znalazł pomocnik, to jego wynagrodzenie nie byłoby z pewnością większe, jak to, które pobiera katecheta za godziny nadobowiązkowe. Pytanie nawet, czy Rada szkolna by mu je przyznała, n. p. księdzu parafialnemu nie chce przyznać wynagrodzenia za klasę czwartą i za klasy wyższe, jeżeli nie uczy zarazem we wszystkich trzech niższych. Aby żadna klasa nie została bez religii, musi nieraz katecheta łączyć przepełnione oddziały równorzędne, tak, iż nauka staje się prawie niemożliwą; innemu nauczycielowi na to by nie pozwolono, ale katechecie się pozwala, bo o postępy w nauce religiii władzom szkolnym widać się nie rozchodzi, rozchodzi się tylko o to, aby ta nauka jak najmniej kosztowała.

Egzorta jest policzona katechecie za dwie godziny; jednakowoż wiadomo początkującym zwłaszcza katechetom, że przygotowanie dobrej egzorty, która niema przebrzmieć bez wrażenia i skutku, wymaga nieraz nie dwóch godzin, ale dwóch dni, i jest dla katechety obowiązkiem z pewnością uciążliwszym, niż mechaniczne poprawianie zadań, na które nauczycielswo tak utyskuje. Oprócz niedziel zobowiązują katechetę do głoszenia egzort także we święta, na początku i na końcu roku szkolnego, w dzień Patrona szkolnego, na rekollekcyach wielkopostnych, lecz egzorty te niezawsze chce Rada szkolna ani zaliczyć do tygodniowego wymiaru godzin, lub je osobno remunerować, podczas gdy nauczycieli świeckich wynagradza się za każdy obowiązek, który na nich włożono ponad przepisaną liczbę godzin.

A lata służby, a emerytura? Nauczyciel w już w 20 roku życia może zacząć pracę w szkole i jeżeli pospieszy się z egzaminem kwalifikacyjnym, już mu się liczą lata służby, choćby nie otrzymał zaraz stałej posady. Kapłan dopiero w 24 roku opuszcza Seminaryum i zanim otrzyma posadę katechety, musi zazwyczaj parę lat spędzić przy parafii (w dyecezyi krakowskiej minimum 3 lata), więc przynajmniej o 5 lat opóźnia się w porównaniu do nauczyciela. Gdyby mu choć policzono lata spędzone na parafii! Ma do tego zupełne prawo, bo ukończenie teologii równa się kwalifice z religii a nawet egzaminowi wydziałowemu, a w szkołach parafialnych uczy nieraz więcej niż 18 godzin tygodniowo, które stałemu katechecie jako minimum wyznaczono. Toż nie dziw, że katecheci, zaczynając

późno swój zawód nauczycielski, niesłychanie rzadko dochodzą do emerytury: albo przedtem umierają, albo przechodzą na probostwa, albo skutkiem zachwianego zdrowia i wyczerpania wcześniej się pensyonują, nie otrzymując ani połowy tego, co przy czynnej służbie pobierali. Nauczyciel nie tylko częściej zyska płacę emerytalną, ale nadto umierając zostawia nieraz żonę i małoletnie dzieci, które nadal pobierają zaopatrzenie, a tak o wiele więcej obciąża budżet państwowy, niż katecheta. A jednak katecheta w tym samym stosunku musi uiszczać wkładki emerytalne, bo niby jest z nauczycielstwem zrównany... w obowiązkach ale nie w prawach.

O świeckie przedmioty stosunkowo dosyć troszczą się Rady szkolne, rządowe i autonomiczne. Szkoły zaopatrzone są w różne przybory i okazy, służące do uzmysłowienia nauki; nauczyciele mają do dyspozycyi biblioteki z dziełami pedagogicznemi; urządza się im specyalne kursa dla pogłębienia ich wykształcenia w pewnym kierunku albo dla ułatwienia egzaminu; ubogiej młodzieży dostarcza się podręczników bezpłatnych itp. Religia pod tym względem po macoszemu jest traktowana, mimo, że w szeregu przedmiotów na pierwszem figuruje miejscu. Przy nauczaniu jej wielką usługę oddają obrazy biblijne, ryciny z ziemi św., mapy terenu biblijnego, przedstawienia liturgiczne. Lecz któraż szkoła to wszystko posiada? Rady szkolne miejscowe ani słyszeć o tem nie chcą, aby miały sprawić te przybory; nawet kilku katechizmów albo biblij dla biednych dzieci trudno się doprosić. I kończy się na tem, że katecheta z własnej kieszeni musi sprawić to, co najpotrzebniejsze. A czy słyszał kto, żeby Rada szkolna kraj. urządzała jakie kursa dla głębszego fachowego wykształcenia katechetów? Urządza — nawet osobne zakłady, ale tylko dla nauczycieli religii żydowskiej! Czyż to nie jest niesprawiedliwością i ubliżeniem dla katolików, że mają płacić na żydowski Instytut teologiczny (świeżo we Lwowie uchwalony), podczas gdy Seminarya duchowne katolickie tylko z funduszu religijnego utrzymywać się muszą?

Nie tylko nie posiada katecheta tych samych praw i udogodnień, jak inni nauczyciele, ale nadto obciążony jest wielu czynnościami, od których wolni są nauczyciele, ale które jemu do wymiaru jego pracy wcale nie są wliczone. Ksiądz musi na czczo odprawiać Mszę św. i to nieraz o dość późnej godzinie (dla niektórych szkół z braku miejsca w kościele jest niedzielne nabożeństwo dopiero o godzinie 9 lub później); w maju, czerwcu i wrześniu ma ją nawet codzień, a gdy zaraz po nabożeństwie wypada mu lekcya w szkole i nie mieszka blizko kościoła, to nawet nie wie, kiedy spożyć śniadanie. Musi z niemałem wytężeniem organu głosowego prawić w kościele egzorty, a w swoim czasie urządzić rekollekcye. Musi robić skrzętne zabiegi, aby na spowiedź szkolną dostać kapłanów, a następnie odwzajemniając się tylokrotnie im pomagać, ilu ich otrzymał do pomocy. Od tych wszystkich trudów wolni są nauczyciele,

bo jeżeli przyprowadzają dzieci do kościoła i są z niemi na nabożeństwie, albo biernie słuchają egzorty, to tego nie można nazwać poważnym trudem. Jako katolicy i tak są do tego obowiązani; a jeżeli pracę włożoną w nadzór dzieci przy nabożeństwie nauczyciele wysoko sobie cenią (sic!), to tem więcej ma do tego prawo katecheta. Obciążenie katechety tem jaskrawiej występuje, gdy się go porówna z nauczycielem religii żydowskiej. Żyd uczy, jak chce i czego chce; używa planów i podręczników, jak mu się podoba; nie bywa kontrolowany literalnie przez nikogo (ze strony władz szkolnych ani wyznaniowych), ażali materyał wyczerpał i religii ze skutkiem udzielał; uczniów ma zazwyczaj mało, nie odprawia dla nich żadnych nabożeństw, nie miewa egzort; w dodatku jego wykształcenie religijne jest nieraz bardzo wątpliwej wartości — a jednak płacą i rangą równy katechecie, i jemu też przysłuje 24 godzin tygodniowo, choć poza nimi żadnych więcej czynności dla szkoły nie spełnia. Czy to nie oburza?

Wreszcie godzi się i to podnieść (o czem władze szkolne może nie wiedzą, czy wiedzieć nie chcą), że funkcye religijne, które katecheta spełnia dla młodzieży, nietylko połączone są z trudem, ale i z kosztami. Katecheta nie ma przecież swojego kościoła, w którymby się mógł rządzić, ani niezawsze może prowadzić dzieci do tego kościoła, w którymby się mógł rządzić, ani niezawsze może prowadzić dzieci do tego kościoła, w którym sam codzień odprawia; zazwyczaj musi prosić o gościnę w obcym kościele, dlatego służbę kościelną za wyświadczone usługi musi wynagradzać osobno. Jeżeli ma swoją kaplicę szkolną, to jeszcze gorzej, bo wszystkie wydatki, jak na światło, wino, pranie bielizny, ozdobę ołtarza, wypada samemu pokrywać. A spowiedź szkolna, czyż mało kosztów za sobą pociąga? Jak bowiem, jeźli wolno spytać, wyobraża sobie Rada szkolna odbycie szkolnej spowiedzi? Czy katecheta ma sam wszystkie dzieci wyspowiadać? Na to ani zarząd szkoły, ani dzieci, ani wreszcie sam katecheta nigdyby się nie zgodzili, bo nie możnaby się spodziewać spowiedzi szczerej, a w niejednej szkole zabrałoby to przeszło tydzień czasu, podczas gdy regulamin tylko pół dnia na spowiedź przeznacza. Więc może posłać dzieci na spowiedź do księży parafialnych? Zapewne, że spowiadaliby, o ileby im zbywało czasu od innych obowiązków, ale jeżeli jaka szkoła wysyła do spowiedzi ze 300 dzieci, zwłaszcza gdy tych szkół w parafii jest więcej, to niema mowy o tem, aby je dwóch albo trzech księży wyspowiadało przez jedno południe. W każdym razie katecheta nie rozporządza księżmi parafialnymi; a gdyby spowiedź dzielił na kilka partyi, nie miałby dostatecznej kontroli, ani nie mógłby urządzić wspólnej Komunii św. Więc może porozsyłać dzieci, aby szły do różnych kościołów w dowolnym dniu i dowolnej godzinie? Możnaby to zrobić z młodzieżą starszą, ale nie z małemi dziećmi, i znowu nie byłoby kontroli, a przedewszystkiem sprzeciwiałoby się regulaminowi, który żąda spowiedzi wspólnej.

Więc co zrobić? Pospolicie robi się tak, że albo listownie, albo osobiście zaprasza katecheta czyto w w miejscu, czy w okolicy tylu księży, ilu potrzeba, żeby spowiedź mogła się odbyć w 2—3 godzinach. Lecz zaproszeni nie przybyliby (bo juści nie są obowiązani iść albo jechać na robotę do obcych kościołów, kiedy w swoim mają jej dosyć), gdyby ich w jaki sposób nie wynagrodzić albo przynajmniej im się nie odwzajemnić. Więc jeżeli to są księża zakonni, daje się jałmużnę dla klasztoru; jeżeli księża z okolicy, zwłaszcza dalszej, wypada ich ugościć, zwrócić im koszta podróży, ewentualnie konie po nich posłać; jeżeli to koledzy katecheci, trzeba potem chodzić na spowiedź ich szkół i przez kilka popołudni siedzieć w konfesyonale. Jeżeli się zważy, że ta wspólna spowiedź trzykrotnie do roku się powtarza, to minimum 60 koron wypadnie na nią poświęcić. A skąd katecheta przychodzi do tego, aby do swoich obowiązków tyle dopłacał?

Jeżeli czyje obowiązki i urzędowanie połączone są z kosztami, to mu się powinno te koszta zwrócić. I tak dostaje każdy kierownik szkoły pauszalia na prowadzenie kancelaryi, dostają nauczyciele viale, gdy jadą na konferencyę okręgową, sam katecheta dostaje na podwody, jeżeli ma jeździć do dalszych szkół — dlaczegóż nie miałby otrzymać także dodatku na potrzeby liturgiczne, na wydatki połączone z pracą duszpasterską nad młodzieżą? Może Rada szkolna kraj. odprawiania nabożeństwa i urządzania spowiedzi nie zalicza do obowiązków katechety? Takby się zdawało, bo w ustawie z roku 1899 jest mowa tylko o godzinach religii i egzorcie, zaś w praktych rel. zaleconych w r. 1893 dla szkół ludowych jest tylko na młodzież włożony obowiązek brania w nich udziału, nie jest jednak podane (z wyjątkiem nabożeństwa na zaczęcie roku szkol.), że te wszystkie funkcye religijne ma dla młodzieży odbywać katecheta. Jednakowoż rozumie się samo przez się, że jeżeli dzieci mają obowiązek słuchać nabożeństw i spowiadać się, to ktoś musi mieć obowiązek te nabożeństwa odprawiać, a tym „ktosiem“ musi być oczywiście katecheta, jako kapłan urzędowo dla szkoły przeznaczony. A czemu o tem milczy tekst przepisów? Bo władze szkolne nie chcą uznać charakteru duszpasterskiego katechety, ani też nie chcą go za funkcye duszpasterskie osobno remunerować. Lecz gdzież wtedy równouprawnienie katechety z nauczycielstwem, jeżeli nauczycielstwu ściśle określa się jego obowiązki i poza tem nic więcej od niego się nie wymaga, a na katechetę oprócz obowiązków wymienionych w regulaminie, tacite wkłada się jeszcze inne, niemniej ciężkie — i zniewala się go do ponoszenia różnych kosztów?

A może władze szkolne stoją na tem stanowisku, że troszczyć się o potrzeby duchowe dziatwy jest rzeczą przełożeństwa kościelnego, że nie Rada szkolna krajowa, ale biskup wkłada na katechetę obowiązek administrowania św. Sakramentów dla młodzieży, że młodzież o tyle ma uczestniczyć w poboż-

nych praktykach, o ile duchowieństwo ich dostarczy? Lecz takiemu stanowisku sprzeciwia się orzeczenie Trybunału administr. z dnia 8. listop. 1882, że „nauka religii w szkole ludowej nie jest bynajmniej sprawą wyłącznie wyznaniową; owszem udzielanie tej nauki niemniej należy do celów szkoły ludowej, jak udzielanie nauki w innych przedmiotach". Orzeczenie to nie mówi wprawdzie o praktykach rel., bo ma na myśli i religię żydowską i protestancką, które bez nich może się obejdą, ale w religii katolickiej ćwiczenia praktyczne zarówno należą do jej istoty, jak nauka teoretyczna. A dalej wiadomo, że katecheta nie pobiera żadnych datków z funduszu religijnego, lecz cały stoi na etacie szkolnym, z tego więc funduszu ma być wynagradzaną cała jego praca, a nie godzi się jego czynności duszpasterskich odłączać od nauczycielskich.

Powie kto może: katecheta może sam pokrywać wydatki duszpasterskie dla szkoły, bo oprócz pensyi ma jeszcze uboczne dochody z kościoła. Czasem ma, częściej nie ma — a co komu do tego? I nauczyciel niejeden ma uboczne dochody z lekcyi, albo pisaniny, a nikt mu tego nie liczy, bo to niestałe i niepewne. Zresztą jeżeli katecheta ma co z kościoła, to musi, jak każdy inny, na to zapracować. Samo odprawianie Brewiarza i Mszy św. zajmuje mu codziennie przeszło dwie godziny, a do tego należy doliczyć głoszenie kazań, słuchanie spowiedzi, któremi pomaga duchowieństwu parafialnemu, tak że dla niego niema zupełnie wolnych wakacyj i feryi świątecznych, co jest przywilejem nauczycielstwa świeckiego.

Schodzi więc ciągle na to, że katecheta jest w porównaniu do nauczycielstwa upośledzony; władze szkolne pamiętają o nim, gdy chodzi o obciążenie go, a gdy chodzi o dostateczne wynagrodzenie i zaspokojenie praw jego, przekazują go opiece biskupa. I nie wie katecheta, od której władzy więcej zależy, do której w niejednej potrzebie ma się zwrócić; jego stosunek służbowy jest zupełnie nieuregulowany. Czasem wychodzi mu to na korzyść, bo gdy żadna z przełożonych władz nie chce wchodzić w drogę drugiej i od nadmiernej kontroli się wstrzymuje, ma katecheta dosyć wolną rękę — częściej jednak wychodzi to na jego niekorzyść, bo w potrzebach swoich musi zazwyczaj udawać się do obu władz — i choć u jednej uzyska przyzwolenie (np. urlop), niezawsze uzyska je u drugiej, a taksamo postępowaniem swojem zadowoli nieraz tylko jedną, a narazi się drugiej.

X. W. V.

Wspomnienia z Konstantynopola.

(III). Po śniadaniu spożytem u Braci mniejszych, pracujących przy Kościele pod wezwaniem św. Antoniego położonym przy ulicy Pera, powróciłem do mego mieszkania.

Trzeba je było wkrótce opuścić. Wybierałem się bowiem dzisiaj—a było to 2-go marca 1907 r.—do Stambułu, serca Konstantynopola. Chciałem zwiedzić stary Seraj, czyli pałace sułtańskie, położone tu po stronie północno-wschodniej.

Cieszyłem się niezmiernie, że zobaczę owe tajemnicze pałace — cudowne tarasy — wspaniałe ogrody — przedewszystkiem cacko architektury greckiej, meczet „Aję Sophię“. Wszak ta świątynia była oddawna przedmiotem mych snów i marzeń! Wyszedłszy z hotelu, przeszedłem z mym towarzyszem ulicę Pery, następnie przebiegłem na wskroś ulicę Galaty i znalazłem się na moście rozpiętym na wodach Złotego Rogu. Mimowoli rzuciłem okiem w dal w stronę miasta Skutari, położonego na cyplu Azyi Mniejszej. Całe — zda się, skąpane w złocistych promieniach słońca — tonęło w szafirowych topielach Bosforu. Bliżej mostu od strony Bosforu kołysały się parowce o różnej wielkości, lub mknęły szybko jak strzała waporety magnackie i tureckie kaiki. Od strony Złotego Rogu bielił się cały szereg żaglowców, czekających tylko na chwilę odjazdu. To wszystko nastraja przyjemnie. Za to natłok na moście ludzi, różnych wyglądem, ubraniem i kulturą, gwar nieustanny, oraz turkot powozów toczących się po płaszczyźnie mostu, odziera człowieka z poetycznych polotów, a sprowadza na tory prozaicznej rzeczywistości i zwykłego padołu płaczu.

Ale oto już Stambuł! Rozsiadł on się na 7-miu wzgórzach półwyspu, który nakształt języka wrzyna się w masy wód Złotego Rogu, Bosforu i morza Marmora. Pierwszym budynkiem godnym uwagi zaraz za mostem jest meczet sułtanki Walidy. Tak się nazywa, gdyż fundowała go Walide, sułtanka, wdowa po Achmecie I. r. 1615. Wstępuje się do tej świątyni po schodach o kilkudziesięciu stopniach. Ukazuje się oczom wchodzącego wielki dziedziniec przyozdobiony krużgankami. W środku dziedzińca znajduje się studnia otoczona cyprysami. Po bokach dziedzińca wytyczone są miejsca do umycia się przed wstąpieniem do meczetu. Po bokach zdobią świątynię dwa minarety o pięknych galeryach. Wnętrze meczetu uderza wielkością rozmiarów oraz ozdobami z porcelanowych tabliczek. Dodają uroku świątyni ściany tejże pokryte białym marmurem. Psują natomiast efekt zwieszające się ze sufitu jaja strusie oraz lustra, ulubione przez Turków dekoracye meczetów; również razi posadzka zasłana nie dywanami lecz rogóżkami ze słomy.

Do meczetu tego prowadzą od strony prawej pokoje sułtańskie, zwieszające się nad ulicą w kształcie łuku. Sale te są obecnie opuszczone, lecz jeszcze piękne z powodu ścian wykładanych taflami z szafirowej porcelany o pięknym rysunku, z powodu cennych kolorowych okien i pięknych rzeźb na drzwiach, oraz inkrustacyj z masy perłowej.

Przy meczecie wznosi się tiurbe czyli grobowiec sułtanki Walide. W nim spoczywają, obok jej ciała, zwłoki pięciu sułtanów oraz książąt i księżniczek.

Pod skrzydła świątyni schroniła się też oświata i dobroczynność. Mieści się bowiem w dziedzińcu meczetu *medressa* czyli szkoła uczonych. Tu się odbywają wykłady z dziedziny prawa i teologii. Trzeba jednak te wykłady oceniać z punktu tureckiego nie naszego. Są to poprostu praktyczne uwagi i sądy oparte na kodeksie prawa tureckiego t. j. Koranie. Znajduje się też przy tej świątyni szpital i kuchnia ludowa. W tem widzimy próby u Turków rozwiązywania kwestyi społecznej.

Wszystkie wydatki powyższych instytucyj pokrywa budżet świątyni.

Jeszcze raz rzuciłem okiem na strukturę świątyni tureckiej, którą pierwszy raz w życiu mem oglądałem i podążyłem ulicą, zdaje mi się Hodja-Pasza, ku Serajowi. Zdala już widzę to strzelające w górę cztery minarety, otaczające Aję Sophię, to szczyty innych budynków, kiosków i pałaców, wzniesionych na jednem ze wzgórz Stambułu.

Na widok ich stanęły przed memi oczyma straszne sceny, jakie się tu niegdyś rozegrały. Wywołali je sułtani, którzy tu rezydowali, począwszy od Mahometa II. Ci okrutnicy mordowali tu często swych braci lub synów. Tu na skinienie padyszachów padały głowy wysokich dygnitarzy, które wieszano na hakach przy bramie zwanej „wspaniałą“. Tu nędzne życie wiodło tysiące kobiet, wydanych na łup i rozpustę tyrana. Tu też padali sami sułtani z rąk jańczarów i innych wysokich urzędników. Tu też szły w zawody haremowe faworyty sułtanów z paziami i wielkimi wezyrami w stosowaniu najrozmaitszych morderczych środków względem swych przeciwników. Trucizna, sztylet lub stryczek były na ich usługi. Tu podczas tańców w pałacach sułtańskich mordowano sułtanki. Wody Bosforu kryły nieraz w swych falach wory skórzane, a w nich martwe ciała odalisek!

Ach tu roztaczał się straszny brud, który się nawet z biegiem czasów nie da zatrzeć. *Brud* — pisze Zygmunt Krasiński — *zawsze brudem, myj go sofizmami.* — *Pierz i lat tysiąc, on zawsze się splami*“. Wśród smutnych myśli, wywołanych okropnemi scenami, jakie sobie tworzyła moja wyobraźnia na podstawie przeszłości, jaka się unosiła nad pałacami sułtanów, doszedłem do bramy zwanej: Souk czesme Kapuzi (brama zimnego źródła). Żołnierz, stojący na straży przy bramie, nie robił żadnych trudności w przekroczeniu jej. Przeszedłszy bramę, znalazłem się we wygodnej alei, obsadzonej po obu stronach drzewami i krzewami. Idąc powoli, zauważyłem w dali potężne mury, otaczające Seraj ze strony Złotego Rogu, Bosforu, morza Marmora, oraz ze strony zachodniej. Tu i ówdzie jest on już poprzerywany. W każdym razie potężne te kolosy, datujące się jeszcze z czasów greckich, robią wielkie wrażenie na widzu. Greckie ich pochodzenie zdradza napis grecki, pozostały dotąd na kamieniach muru. Bliżej alei roztacza się ogród, a właściwie część ogrodów, które z trzech stron otaczają Seraj. Nie ma nic w tym ogrodzie, coby mogło uspra-

wiedliwić pochwały, wypowiedziane w opisach Carogrodu na cześć ogrodów sułtańskich. Może były one niegdyś piękne, dzisiaj niemi nie są. Obecnie są zaniedbane, licho utrzymane do tego stopnia, że niejeden z naszych polskich magnatów ma piękniej utrzymany park, niż jego sułtańska Mość. Byłem rozczarowany, porównując te nędzne ogrody z tem, co słyszałem i czytałem o przepychu, z jakim miały być one niegdyś urządzone. Widać, że te opowieści i opisy są jak zwykle grubo przesadzone.

W tym stanie rozczarowania i rozmyślania na temat niestałości i znikomości tego, co doczesne, choćby to było piękne i nęcące oczy, doszedłem do niewielkiego dziedzińca. Myśl o znikomości doczesnych rzeczy nie opuszczała mię, gdyż znajdowała tu szczególniejsze zastosowania. Byli różni władcy, w tych pałacach mieszkali i przeszli do wieczności; zostało po nich wspomnienie smutne, że upadlali swych poddanych, a nie uszlachetniali. Pięknie pisze pod tym względem Zygmunt Krasiński:

„Nic nie spychać nigdy w dół,
Lecz do coraz wyższych kół
Iść przez drugich podnoszenie.
Tak Bóg czyni we wszechświecie,
Bo cel światów: szlachetnienie“.

Były tu pałace greckie, a zniszczały z biegiem czasu. Miały być wspaniałe ogrody, teraz zostały tylko ślady po owych świetnych parkach, aleach wysypywanych srebrzystym piaskiem. Tak to wszystko zmarniało! Bo — jak mówi wyżej cytowany autor:

„Wszystko przejdzie na potoku —
Wszystko zginie na głębinie,
Co widome tylko oku,
Lecz idea nie zaginie“.

Po lewej stronie dziedzińca wznoszą się dwa pałacyki z tarasem wychodzącym na Bosfor. Zdobią je posągi bogiń greckich, ustawione nad gzymsami budynków. Są one dosyć piękne, lecz o dziwo! nie mają głów! Łamałem sobie głowę nad tem, jakby sobie wytłómaczyć ten brak głów? Nareszcie nasunęła mi się myśl, która mi to zjawisko wytłómaczyła. Wypływa ona z Koranu. Kobiety muszą mieć według Koranu zasłonioną twarz, by na nią nie poglądnął mężczyzna. Posągi bogiń nie miały osłonionych twarzy, otóż poodbijano im głowy. Czy to nie znakomita aplikacya Koranu w tym konkretnym wypadku! Dalej poza pałacykami wpada w oczy tak zwany czinoli (kiosk), czyli pałac fajansowy. Tak on się nazywa, gdyż jest wyłożony na zewnątrz szafirowemi tabliczkami z fajansu. To też dekoracya, która bardzo przypada do gustu Turkom.

Przed tym pałacem mnóstwo leży porzuconych sarkofagów i kamieni grobowych jeszcze z czasów greckich i łacińskich.

Ks. Dr. St. Dutkiewicz.

Szkic katechezy o Sakramentach św. w ogólności.

Przygotowanie Odpytanie lekcyi poprzedniej. Wyliczenie wszystkich siedmiu Sakramentów św. (p. 361) i pojęcia Sakramentu (p 271). *Które Sakramenta św. powinien każdy człowiek przyjmować? *Które Sakramenta św są dla osobnych stanów? Kto ustanowił Sakramenta św.? Na co P. Jezus ustanowił Sakramenta św.? Pouczę was dziś jeszcze o wszystkich Sakramentach św.

Wykład. Katecheta każe wyszukać rycinę całostronną na czele katechizmu, przedstawiającą P. Jezusa ukrzyżowanego i 7 Sakramentów św. i zapytuje najpierw o jej szczegóły. Za kogo umarł P. J na krzyżu? *Od czego odkupił nas P. Jezus? (P. 84). *Co nam P. Jezus wysłużył męką i śmiercią Swoją? (P. 85). *Dla czyich więc zasług otrzymujemy łaskę Bożą? Dla udzielania łaski ustanowił P. J. Sakramenta św., Mszę św. i modlitwę. Kiedy P. J wylał za nas ostatnią kroplę krwi? Tę właśnie chwilę przedstawia obrazek. Z boku P. Jezusa wytryska Krew Najśw. i dzieli się na 7 strumieni. Każdy z tych 7 strumieni staje się źródłem osobnego Sakramentu św. tak, iż o człowieku, który godnie przyjmuje Sakramenta św., można powiedzieć, że się spokrewnia z P. Jezusem, bo ma udział w Najśw. Krwi i zasługach samego P. Jezusa Z kim spokrewnia się każdy, kto przyjmuje godnie Sakramenta św.? *Iloraką rozróżniamy łaskę Boską? Dwojakie też łaski daje nam każdy Sakrament (p. 363). Kto udziela teraz Sakramentów św.? Czy kapłani w jednaki sposób udzielają każdego Sakramentu? (Na tle obrazka odpytuje katecheta znak widzialny każdego Sakramentu). Dlaczego kapłani używają tych właśnie znaków widzialnych a nie innych? (Ewentualnie: Bo kto tak ustanowił?). Dlaczego Sakramenta św. dają i łaskę uśw. i różne łaski uczynkowe? Zapamiętajcież sobie, że każdy Sakrament poznajemy po trzech rzeczach (p. 362). Memoryzowanie p. 361, 362 i 363.

Pogłębienie. W których Sakramentach św. odpuszcza nam Bóg grzechy ciężkie? Czy dusza, która ma grzech śmiertelny, żyje dla nieba? Grzech jest zatem śmiercią duszy, a człowiek, który ma grzechy śmiertelne, jest umarłym na duszy. A jednak człowiek ten, jeżli szczerze pokutuje, może przyjąć godnie Chrzest, a później Pokutę i otrzyma odpuszczenie grzechów. Dlatego, że Chrzest i Pokutę przyjmujemy dla oczyszczenia duszy z grzechu, który jest śmiercią duszy, nazywają się one Sakramentami umarłych (p. 366). Ile jest Sakramentów umarłych? Czemu Chrzest i Pokuta nazywają się Sakramentami umarłych? *Czy grzech powszedni jest także śmiercią duszy? *W których Sakramentach św. odpuszcza Bóg grzechy powszednie? Pojęcie Sakramentów żywych. Który Apostoł przyjął Sakrament żywych, chociaż miał w duszy grzech śmiertelny? Czy Judasz otrzymał przez Komunię św. odpuszczenie grzechów powszednich? Jaki grzech nowy popełnia, kto niegodnie przyjmuje Sakramenta św.? Jak więc powinniśmy przyjmować Sakramenta św.? (P. 368).

Przez który Sakrament staje się człowiek najpierw dziecięciem Bożem? Każdy człowiek raz tylko się rodzi i staje się dziecięciem — tak samo raz tylko rodzimy się przez Chrzest i stajemy się dziećmi Bożemi. Dziecię ludzkie można łatwo rozpoznać od każdego zwierzątka lub ptaszka, tak i duszę, która się stała dziecięciem Bożem, można

rozpoznać od innych dusz, bo Bóg wyraża na niej znamię synowstwa Bożego, które się już nie zatrze na wieki. *Ile razy w życiu wolno przyjąć Chrzest? *Dlaczego Chrzest tylko raz w życiu wolno przyjmować? *Czy chrześcianie, którzy poszli do piekła, mają także na duszy znak synowstwa Bożego? *Czy ten znak zmniejszy im wstyd i karę w piekle? Pamiętajcie o tem, że każdej chwili umrzeć możecie i dlatego żyjcie zawsze tak, abyście się nie musieli przez całą wieczność wstydzić wobec pogan tego, że jesteście chrześcijanami.

*Który Sakrament czyni ludzi żołnierzami Chrystusowymi? Którzy z was widzieli zwyczajnego żołnierza? Poczem można poznać zwyczajnego żołnierza? Żołnierz zwyczajny nie służy przy wojsku przez całe życie. Gdy skończył służbę, zdejmuje mundur, odkłada broń, ubiera się jak inni ludzie i już nie jest żołnierzem. Inaczej jest z żołnierstwem Chrystusowem. Kto przy Bierzmowaniu zobowiązał się walczyć z pokusami w obronie Chrystusa Pana, ten zobowiązał się nie na kilka lat, ale na całe życie, a Bóg wyraża zaraz na duszy jego znamię żołnierstwa, które się nie zatrze na wieki. *Ile razy więc w życiu wolno przyjmować Sakrament Bierzmowania? *Dlaczego Bierzmowanie tylko raz w życiu wolno przyjmować?

Osobliwsze znamię wyraża na duszy Sakr. Kapłaństwa. Znamię to niezatarte daje poznać, że kapłan poświęcony został Bogu w osobliwszy sposób na to, aby za ludzi składał Bogu ofiary i starał się Boga przebłagać za grzechy ludzkie — a naodwrót także, aby ludziom udzielał odpuszczenia grzechów i łask Bożych. W ten sposób kapłan pośredniczy między ludźmi a Bogiem i znamię takiego pośrednictwa wyraża na duszy jego Sakr. Kapłaństwa. Odpytanie. Które Sakramenta św. można raz tylko w życiu przyjmować? (P. 367). Co popełnia ten, kto n. p. Bierzmowanie przyjął bez spowiedzi i w grzechu ciężkim? *Czy ma on przyjąć drugi raz Sakrament Bierzmowania? (Uwaga po p. 367).

Z tego. czegoście się dziś uczyli, wiecie, że Sakramenta św. można dzielić dwojako. (P. 364). Odpytanie. Dzieci czytają p. 361 do 368 i memoryzują p. 366 i 367.

Zastosowanie. Przez jedno z wielkich miast przepływała rzeka głęboka i rwiąca. Dzieci, a nawet dorośli ludzie, wpadali do niej często i topili się. Wówczas to pewien bogaty a dobry człowiek postanowił zaradzić złemu. Zakupił wiele łodzi i co 200 metrów jednę łódź kazał przywiązać do brzegu. W każdej łodzi kazał złożyć pasy z korka albo z gumy, wydętej powietrzem i inne narzędzia i kazał płacić roczną pensyę rybakom, aby po jednemu w każdej łodzi siedzieli. Gdy ktoś wpadł do wody, rybak przypasywał taki pas gumowy lub korkowy i wskakiwał także do wody, ale nie mógł zatonąć, bo pas utrzymywał go na wodzie. Płynął tedy do nieszczęśliwego i wyciągał go z wody. Gdy nie mógł dopłynąć, rzucał nieszczęśliwemu linę, albo podawał mu żerdź i wyciągał go na brzeg. W ten sposób nikt już odtąd nie topił się w rzece, a wszyscy ludzie błogosławili owego pana bogatego i dobrego, który się o to postarał. Zdarzyło się przecież, że jeden człowiek wpadł znowu do rzeki Rybak rzucił mu linę, ale on jej nie chwycił, chociaż mógł łatwo chwycić. Rybak przypłynął do niego i chwycił go za ubranie, ale ów człowiek zaczął wołać: „Nie chcę! Puść mnie!“ i ugryzł

rybaka w rękę. Rybak musiał go wtenczas puścić i ów człowiek zatonął. Któż był winien śmierci tego człowieka? Podobnemi do rzeki rwącej są pokusy grzechowe, któże nas prowadzą do zguby. Dobroczyńcą, który obmyślił środki ratunku dla ludzi, jest sam P. Jezus, który ustanowił na to Sakramenta św., Mszę św. i modlitwy; rybakami są kapłani, którzy ludziom udzielają Sakramentów św. I któż mimo to idzie na potępienie? Ten tylko, kto z uporem odrzuca te środki pomocy Bożej, nie chce iść do spowiedzi ani do Komunii św., nie chce nawet przed śmiercią przyjąć Sakramentów św. Wydaje się niemożliwem, aby ludzie mogli się stać tak nierozumnymi i upartymi w złem, a jednak takim staje się łatwo każdy, kto pokocha n. p pijaństwo, lenistwo, rozpustę, albo inne grzechy. Zastosowanie do dzieci. Modlitwa wspólna o nawrócenie grzeszników nałogowych.

Obrona katechizmu ks. Taranowicza[1]).

X. Dr. Pechnik wystąpił w *Gazecie Kościelnej*[2]) z obroną katechizmu X. Taranowicza. Apologia z tej strony nie była żadną niespodzianką; wiedziałem, że nastąpi. byłem na nią przygotowany, czekałem jej, więcej może, niż sam X Taranowicz. Cieszę się nawet, że ks. Redaktor *Gazety Kościelnej* spełnił *officium boni viri*, ujął się za autorem, podniósł strony dodatnie jego pracy, pochwalił i zalecił ten katechizm do szkół. Czytelnik, znając dwie opinie, łatwiej może sobie wyrobić zdanie własne. Zyskuje na obronie X Pechnika katechizm nowy, zyskuje autor sam, X Taranowicz. Dobrze się stało, że tak się stało.

Apologia jednak w znacznej części zajmowała się zbijaniem zarzutów, jakie uczyniłem nowemu katechizmowi, poświęcona była polemice z moimi wywodami. Nie miałbym nic przeciwko temu — bez polemiki bowiem nie byłoby życia, bez polemiki niemożliwąby była

---

[1]) Zawiele może poświęcamy miejsca katechizmowi X. T., który jest słabszy w ogóle od katechizmu ks. Błaszczaka, ale zapewniamy, że zwróciliśmy już jednę krytykę z dyec. lwowskiej. Nie możemy natomiast pozbawić Recenzenta — chociaż się z Nim nie solidaryzowaliśmy — możliwości usprawiedliwienia stanowiska zajętego. Z przyjemnością stwierdzamy, że Red. *Gaz. Kościeln.* w obronie katech. X. T. oświadczyła się stanowczo przeciw katechizmowi salzburskiemu, bo wiadomo, że dopóki katechizm ten nie był jeszcze przetłómaczony na język polski i akcya o to była dopiero w toku, nie kto inny lecz właśnie *Gaz. Kościel.* stawała gorąco i niejednokrotnie w jego obronie, posługując się głównie argumentem takim, jak należny respekt dla Episkopatu i... przyciskała tem *Dwut. kat.* do muru. Obecnie na kursie katech. sam tylko X. Józefowicz (nie nikt!) oświadczył się za owym katechizmem. Kto pożyje dłużej, doczeka się może w niejednej jeszcze sprawie podobnej ewolucyi pojęć, przynoszącej zresztą zaszczyt aurze stolicy. (Dop. Red.)

[2]) *Gaz. Kościelna* Nr. 1, 2 i 4. z roku 1908 Autor obrony nie podpisał się nazwiskiem, ale umieścił w miejsce nazwiska „Red.“, co ma oznaczać Redakcyę, lub Redaktora, jak kto woli.

apologia — gdyby nie pewne ustępy, które wymagają pewnego sprostowania i wyjaśnienia. Nie będę wchodził w szczegóły, ani powtarzał zarzutów raz podniesionych, ani się silił na zarzuty nowe; byłaby to rzecz długa i nudna i powodołaby polemikę bez końca. Nie będę nawet zwracał uwagi na niektóre wyrażenia X. Redaktora, mające charakter osobistych przytyków: pominę je. Muszę tylko zastrzedz się przeciw tego rodzaju streszczaniu moich wywodów, jak to uczynił X. dr. Pechnik.

Zastrzegam się, że mi ani przez myśl nie przeszło czynić zarzut czy uwagę, że „ks. T. nic godnego napisać nie potrafi“. Nie wiem, czy X. Redaktor chciał w ten sposób zaskarbić sobie wdzięczność autora, czy też sprawić mu przyjemność — w każdym razie w imię sprawiedliwości stwierdzam, żem tego nie pisał, nie twierdził i w cytowanym w dopisku ustępie z mojej recenzyi nikt takiego twierdzenia nie wyczyta. Co innego przecież twierdzić, że katechizm dany jest do niczego lub, że pewne ustępy są jakby inną ręką pisane, a co innego mówić, że ktoś nic godnego w ogólności napisać nie potrafi. Choćby zatem X. Taranowicz rad był osobiście z tego rodzaju obrony, ja się zastrzegam, że do obrony w tym względzie nie dałem powodu.

Powołuje się X Redaktor na katechizm włoski, zatwierdzony i zalecony przez Piusa X, w tłumaczeniu niemieckiem Stieglitza. Przyznaję się, żem tego katechizmu w mojej recenzyi nie uwzględniał, a to z przyczyny dość komicznej. Miałem ten katechizm u siebie i przed kilku miesiącami wypożyczyłem go właśnie X. Taranowiczowi, mając obietnicę, że mi go wkrótce zwróci. Tymczasem miesiące mijały, X. T katechizmu nie zwracał, w księgarniach lwowskich katechizmu tego nie można było kupić i chcąc nie chcąc, musiałem się obejść bez niego, choć mnie to mocno gryzło. Czy zresztą katechizm wspomniany jest już ostatniem słowem na tem polu, to jeszcze pytanie do rozstrzygnięcia.

Co do zarzutów czynionych przezemnie pod względem rzeczowym, które tak wyczerpująco starał się wyjaśnić i zbić X. Dr. Pechnik, nie widzę potrzeby dłużej nad nimi się zastanawiać. Zdaje mi się, że X. Redaktor sam musiał mieć niepokój w sumieniu, kiedy tak niemiłosiernie miejscami naciągał słowa i zwroty, aby im nadać potrzebne znaczenie. Na upartego spierać się nie chcę. Jeżli kto uwierzy, że pozdrowienie jest zwiastowaniem, że X. Taranowicz dobrze wszystko napisał, co w katechizmie napisał, niechaj wierzy; niechaj tylko wie, że mogą być także niewierni, których obszerne wywody X. Dra Pechnika nie mogły przekonać i którzy kactechizm X. T. będą nadal uważali pod względem rzeczowym za niedostateczny.

Podobnie wyda się wielu słabą obrona układu katechizmu „na podstawie pacierza“. X Redaktor przyznaje bodaj częściowo, że takiemu układowi ze stanowiska systematyki można robić zarzuty. To zupełnie wystarczy, o to bowiem głównie idzie.

Podniósł X. Redaktor, że autor wprowadził do swego katechizmu metodę indukcyjną. I ja w mojej recenzyi na tę stronę zwróciłem uwagę i zaznaczyłem, że autor tę metodę w katechizmie chciał przeprowadzić, po obszerniejszym jednak rozbiorze doszedłem do wniosku, że próba się nie udała. Nie może być zaletą katechizmu metoda naprowadzająca i psychologiczna źle użyta i źle przeprowadzona, bo znacznie utrudnia katechecie dobre uczenie w szkole. Łatwiej da sobie radę

katecheta z katechizmem, napisamym dość abstrakcyjnie, z definicyami, ale krótko i jasno, niż z katechizmem, napisanym metodą indukcyjną, ale nieszczęśliwie, niejasno i z definicyami kulawemi. Albo naprowadzać dobrze i trafnie, albo pozostawić metodę własnemu opracowaniu katechety, a w katechizmie podać prawdę krótko, jasno, w formie pytań i odpowiedzi. Na przykładach starałem się wykazać, że metoda naprowadzająca w katechizmie X. T. nie udała się całkowicie, a mógłbym to jeszcze raz wykazać na nauce o łasce, albo o cnocie, które zachwala X. Dr. Pechnik. Czy dobre jest pytanie wstępne (str. 137): „Co się dzieje w duszy naszej, gdy myśli, słowa i uczynki dobre często powtarzamy"? Czy na to pytanie ta jedna tylko odpowiedź możliwa. że powstaje przyzwyczajenie czyli cnota? Czy to jest stosowny punkt wyjścia do naprowadzania? Czy pytanie drugie (jak dzielą się cnoty? — na Boskie i moralne) ściśle się wiąże z pierwszem? Czy jest tu gdzie wzmianka o tem, co jest cnotą nadprzyrodzoną? Czy cnoty Boskie wiarę, nadzieję i miłość, nabywa się samem powtarzaniem? Skądże mowa o nich już w drugiem pytaniu?

Podobnie możnaby się pytać przy rozmaitych innych indukcyach, ale wymagałoby to zbyt wiele czasu i miejsca. Powtarzam jeszcze raz, że indukcye się nie udały i dlatego wolę inny katechizm, choćby był bez indukcyj.

Katechizmu salcburskiego nie chwalę. czekam z innymi na chwilę, kiedy go usuną ze szkół, ale czyż niema żadnego innego? Zresztą katechizm salcburski (mały dla szkół ludowych) jest krótki, podaje same prawie definicye, podziały i tylko ważniejsze objaśnienia, pozostawia tem samem katechecie szerokie pole do czynienia różnych eksperymentów pod względem metody uczenia. Należy go zastąpić, ale nie katechizmem X. Taranowicza

Na końcu niech mi wolno będzie zaznaczyć, że czynię zarzuty katechizmowi, nie X. Taranowiczowi. X. Taranowicz jest osobiście kapłanem zacnym, gorliwym, pełnym zapału. Nie chwaliłem go, bo to do rzeczy nie należało i zdawało mi się, że mi nie przystoi chwalić drugich. Jeźli jednak X Dr. Pechnik zarzuca mi uprzedzenie, nadmieniam, że jestem dla X. Taranowicza z pełnym szacunkiem. Szło mi jedynie o to, by katechizmu jego nie wprowadzono odrazu do szkół publicznych, a przypuszczenie to nie było bezpodstawne.

Ks. Szydelski.

RECENZYE.

E Jeleńska: Bociany. Gebethner i Wolff. Warszawa 1908. Utalentowana powieściopisarka rzuca garść nowych opowiadań. W całym zbiorku, liczącym 8 nowel, jest najlepszą pierwsza pt. „Bociany", opowiadająca w rzewnych słowach o powolnej śmierci suchotnika, który przez ciąg żywota hulaszczego zapomniał o etyce, żył bez Boga, a w obliczu śmierci z Nim się pogodził. Udało się tu autorce doskonale zestawić obraz gasnącej przyrody z końcem lata i odlot bocianów z męką powolnego konania duszy, pozostawionej samej sobie, opuszczonej przez wszystkich i tembardziej potrzebującej i łaknącej pociechy. Retrospektywne spojrzenie na całe zmarnowane życie umożliwia spłynięcie

na nieszczęśliwego choć promyka łaski wiary. Z dalszego szeregu opowiadań drgają wysoką nutą patryotyczną takie obrazki, jak „Modlitwa Jadwigi", „W dzień Patrona" (św. Kazimierza), gdzie autorka przedstawia św. Kazimierza, udającego się do M. Ostrobramskiej z prośbą o radę na niedolę ludu polskiego, lub „Przed świtem", którego treścią refleksya, cisnąca się na widok pomnika Wieszatiela. Bardzo zręczną jest wkońcu „Bajka", opowiadająca tonem swobodnym, niemal humorystycznym, jak św. Kazimierz, przybywszy na święta do Wilna za zgodą P. Boga, nie może zoryentować się w nowych stosunkach, ludziach, zapatrywaniach i walkach partyjnych, a po powrocie do nieba otrzymuje wyjaśnienie przyczyny tej metamorfozy od P. Boga w słowach: „Zanadto cierpieli. Od tego i najmędrszemu w głowie się pomięsza".

w. k. m.

Eugenia Żmijewska: Płomyk. Z pamiętnika instytutki. Gebethner i Wolff. Warszawa. 1907.

Nazwisko Eugenii Żmijewskiej było do niedawna mało znane w literaturze, dopiero pierwsza jej znaczniejsza powieść „Płomyk" wzbiła ją odrazu ponad szarą masę piszących kobiet, pozwalając wróżyć jak najpomyślniejszą przyszłość. Każdy z nas kryje w najgłębszych tajnikach swego serca wspomnienia lat młodości, mówi chętnie w późniejszych latach i z rozrzewnieniem o „dniach sielskich, anielskich." I właśnie w tym fakcie psychologicznym tkwi tajemnica niezwykłego powodzenia powieści p. Żmijewskiej. W formie bezpretensyonalnego pamiętnika młodej pensyonarki Doli Żalińskiej umiała autorka przedstawić z taką przedmiotowością, żywością i bezpośredniością cały świat myślący naszych przeciętnych podlotków, ich radości i cierpienia, iż mimowoli każdy czytelnik musi przyznać, że ma przed sobą kawałek drgającego prawdą życia. Nie brak jednakowoż utworowi głębszego podkładu. P. Żmijewska przedstawia z jednej strony w sposób miażdżący rezultaty usiłowań rusyfikowania naszego młodego pokolenia w osławionym instytucie Maryjskim, który tylko dlatego nie wyrył bolesnych blizn na niewinnem serduszku Doli, że wcześniej zakład opuściła, ale za to nie oszczędził jej koleżanek, a z drugiej strony poddaje surowej krytyce system wychowania praktykowany w wielu domach, polegający na niedomówieniach, obwijaniu w bawełnę, wyłączaniu z rozmów między rodzicami a dziećmi t. zw. kwestyi miłości, jej praw naturalnych i jej konsekwencyi, słowem system polegający na nieuświadamianiu, naturalnie w granicach etyką zakreślonych — co do spraw płciowych i późniejszych obowiązków małżeńskich. Los Doli, przekształcającej się szybko z dziecka w czarującą panienkę i przechodzącej z całą nieświadomością tuż obok błota bez splugawienia własnych skrzydeł, budzi wprost grozę na myśl, że można było młode dziewczę narażać na podobne niebezpieczeństwa. Dola nie wpadła w błoto, ominęła szczęśliwie przepaść, ale ocalił ją tylko przypadek, zamiast żeby umiała sama świadomie unikać wszystkiego, co złe. Jest również w powieści przestroga dla tych matek, które swą bezwzględnością i surowością doprowadzają do tego, że własne córki przestają je kochać. W rozsnuciu fabuły nader interesującej znać u autorki pewne mistrzowstwo, ogromne umiłowanie kraju, społeczeństwa, które kreśli. Sfery wyższe opisuje bezstronnie, bez żadnej niechęci; rozumie ich życie, zna je doskonale,

współczuje z niemi, ale nie zapomina także o ich słabostkach i wadach. Tylko, że nie wylewa zaraz na nie za to jadu nienawiści, lecz spogląda z pewną rozumną pobłażliwością. A z tym spokojnym, pogodnym, zabarwionym szczerą miłością bliźniego, rysem w odszukiwaniu impulsów działalności ludzkiej jest autorce bardzo do twarzy i nim ujmuje czytelnika. *w. k. m.*

Stanisław Ostrowski. Zarzewie. Powieść historyczna z czasów Ks. warszawskiego. Gebettner i Wolff. Warszawa 1907.

Stosunkowo późno zwróciła nasza powieść historyczna uwagę na przepyszny materyał epicki, drzemiący w wielkiej epopei napoleońskich czasów. Jako jeben z pierwszych spróbował swych sił w tym kierunku Stefan Żeromski, dając w swej zresztą doskonałej powieści pod tytułem „Popioły“ nie syntezę, lecz analizę, pełną ironicznych zgrzytów, zbyt szarpiących poczuciem narodowem; w ślad za nim podążył W. Gąsiorowski, tworząc z ogromnym zapałem, żywością serdecznego uczucia rapsody i powieści napoleońskie. Do powyższych piewców chwały Napoleona I. przybywa obecnie trzeci, St. Ostrowski, którego nazwisko zwraca od pewnego czasu uwagę ogółu przez szereg lepszych, lub gorszych powieści historycznych z różnych epok naszych dziejów. Najnowszy utwór „Zarzewie“ nie doda mu zaiste zbyt wielu laurów. Powieść jako taka nie odpowiada warunkom literackim, chociaż ma fabułę znośną i pewnego rodzaju zacięcie. *w. k. m.*

„Prośba do rodaków“.

„Koło Króla Sobieskiego“ we Wiedniu V. 1. Stolberggasse 32. uchwaliło w bieżącym roku zakupić dom umieścić w nim Szkołę i nazwać ją z okazyi 60 letnich rządów Cesarza „Jubileuszową Szkołą polską“. Ponieważ kolonia Polska we Wiedniu jest biedną, zapraszamy rodaków do przysyłania ofiar, abyśmy mogli dokonać ważnego dla narodu dzieła.

Można także kupować obligacye 10) koronowe 3% procentowe. Upraszamy również o przeczytane książki dla dwóch Czytelń bezpłatnych. polskich Wiedniu. *Ks. J. Łukaszkiewicz.*

Wiadomości dyecezalne.

Lwów. *Mian* ks. *Handl* Józef adm. w Louizentalu — *Przen.* ks. *Gieszczyński* Jozafat do Bruckentala (adm.), ks. *Polniaszek* Jakób z Janowa do Grzymałowa. — *Urlop* dla choroby otrzymał ks. *Porębski* August.

Przemyśl. *Inst.* na prob. w Jarosławiu ks. *Fus* Stefan z Zagórza, w Jeżowem ks. *Tokarski* Józef ze Stanów, w Kamieniu ks. *Malinowski* Paweł. — *Egz. konk.* na prob. złożył ks. *Smoleń* Teofil. *Zrezygnował* z prob. w Nowosielicach kozickich ks *Wachlarewicz* Franciszek. Konkurs do 15. marca. — *Zmarł* ks. *Milczanowski* Jan prałat. R. i. p!

Na stow. Bibliotek chrześć. ofiarował ks. *Dobrowolski* Władysław prob. w Nowem Rybiu 6 K. Prosimy gorąco o łaskawe popieranie tej instytucyi darami w gotówce i w książkach, chociażby w formie omówionej na końcu artykułu „Walka o dusze". Katalogi biblioteki są do nabycia za gotówkę: ogólny za 80 h., dla dzieci i ludu za 20 hal.

Skrzynka na listy. *Kilku zapytującym.* Pogłoski o finansowem podkopaniu *Dwutygodnika Katech.* polegają na lepszych niestety informacyach, niż przytyk bezimienny *Gazety Kość.* (str. 68, nr. 6), jakoby redaktor pragnął „pomnożyć swoje dochody" i wskutek tego „robi tylko niepotrzebną konkurencyę pismom *lepszym*". Jeźli ktoś powie, że ów przytyk (osobisty niestety) nie był skierowany do *Dwutygodnika,* to zapytujemy: do kogo go można odnieść? Czy można myśleć przytem o poważnym *Przeglądzie Powszechnym* w Krakowie lub o *Przeglądzie Katolickim* w Warszawie? Zapewne nie, a więcej pism teologicznych w Polsce nie znamy obecnie. Czy *Gazeta Kość.* jest rzeczywiście pismem *lepszem* niż *Dwutygodnik*, niech osądzą czytelnicy; słyszymy od wielu, że jest przeciwnie. Mimo to ma ona nierównie więcej prenumeratorów, bo jest mniej fachową i jest organem poważnego wielce Stowarzyszenia. Licząc się z tem, a widząc potrzebę ożywienia ruchu na polu katechez i wychowania religijnego, zgłosiliśmy się przed 12 laty do Red. *Gaz. Kość.* z propozycyą, by wydawała osobny dodatek katechetyczny: gdy propozycyą odrzucono, jako nierentowną, założyliśmy *Dwutygodnik.* Pismo liczyło przez 2 lata zaledwie 300 prenumeratorów płacących; czy w tych warunkach mogło się opłacać, a nawet odrzucać zyski, osądzi łatwo każdy, kto się na wydawnictwach cokolwiek rozumie. *Gaz. Kość.* ma przeszło 1300 prenumeratorów i czwartą część pisma zapełnia intratnymi anonsami, a mimo to w 16 latach istnienia nie złożyła podobno kapitałów! Mimo tak trudnych warunków wytrwaliśmy na stanowisku — dla idei. Z czasem ilość prenumeratorów podniosła się o tyle, że Dwutygodnik miał ich tylko o trzecią część mniej jak *Gaz. Kość.*, ale też za to powiększył on znacznie swoją objętość. Na r. 1908. spadła ilość prenumeratorów nagle na 400! Złożyły się na to różne powody: zakaz oddawania pisma na intencye mszalne, uzasadniony jednak ideą wyższą — nierzetelność wielu prenumeratorów, zmuszająca nas do posyłania pisma tym tylko, którzy na r. 1908, przysłali 6 K. — a przedewszystkiem nagonka lwowska na kursie i w *Gazecie Kość.* Ile w tych warunkach trzeba do pisma dopłacać, ile *tysięcy* K. straciliśmy u nierzetelnych prenumeratorów, obliczać nie chcemy; ufamy, że praca uczciwa, wolna od intryg, zjedna sobie znowu więcej prenumeratorów, a na razie pocieszamy się przeświadczeniem. że Dwutygodnik nie istnieje bez pożytku, że podniósł w kraju poziom katechizowania i znalazł uznanie nawet za granicą. Moglibyśmy snadnie odwrócić zarzut i odpowiedzieć *Gazecie* przytykami na temat finansowości itp., ale ubliżylibyśmy sami sobie i sprawie. jakiej służymy, gdybyśmy się zniżyli do jakichkolwiek wycieczek osobistych. Nie czyniliśmy tego dawniej, nie uczynimy tembardziej teraz, gdy redaktorem Gaz. K. jest kapłan, którego wiedzę, pracę i zacny charakter głęboko szanujemy. Jesteśmy nawet przekonani, że powodem jego ostrych wystąpień przeciw nam jest tylko poczciwość, która zbyt łatwo może ulega podszeptom osób mniej nam przychylnych. Haecclara pacta — utinam claros faciant amicos!

Redaktor odpow. Ks. Walenty Gadowski. Drukiem J. Pisza w Tarnowie.